

Siostra Maria Teresa
(Stanisława Jasionowicz)

„ PAMIĘTAM I
NIE PAMIĘTAM „

Martyrologia polskich dzieci
zestanych do Z.S.S.R.
podczas drugiej wojny swiatowej

Paryż 1990

© ARCHIWUM WSKRONIE

II / 1565 / T konkurs

Pamiętam... i nie pamiętam

Wspomnienia z lat dziecińczych i młodzięńczych

Lata: 1940 - 1950

Siostra Maria Teresa
od Jęsa Kapłana
(Stanisława Jasionowici)

Druga wojna światowa /1939-1945/ zostawiła w mej duszy niezatarte ślady.

Po zajęciu Warszawy przez Hitlerowców dnia 1.IX.1939 i po zniszczeniu jej sił wojskowych, Polska zaczęła swą okropną egzystencję pod okupacją niemiecką.

Lecz to nie był koniec jej tragedii. Zgodnie z tajemnym paktem Ribbentrop-Molotov, Wojska Sowieckie napadły na wschodnie ziemie Polski dnia 17.IX. tegoż roku. Celem ich było przyłączenie do Związku Radzieckiego wschodnią część Polski /około 40 % terytorium narodowego/ i wysiedlenie z tych ziem Polaków, zwłaszcza takich, których obecność na zajętych przez nich ziemiach, mogłaby przeszkadzać w ich planach. Moja rodzina mieszkała w tej części Polski w miejscowości Jezupol, w województwie stanisławowskim, na południowym wschodzie Polski.

Pierwsza deportacja i najbardziej niespodziewana, miała miejsce 10 lutego 1940 roku. Zima w tym roku była wyjątkowo sroga.

W ciągu jednej nocy w,wywieziono 200.000 ludzi, przeważnie kobiet z dziećmi, bo mężczyźni, albo nie wrócili z wojny, albo zabierani byli do więzienia przez Moskali. Druga deportacja odbyła się dnia 13.IV.1940 roku i wywieziono w,tedy 320.000 ludności cywilnej. W tym samym roku, w czerwcu wywieziono 240.000 ludzi, a w roku 1941 jeszcze 200.000 cywilnej ludności.

Deportacje odbywały się mniej więcej w ten sam sposób. Grupa N .K.V.D./Wojskowa policja tajna / uzbrojona, w towarzystwie milicji ukraińskiej, lokalnej, przychodziła w nocy i rozkazywała by otworzono jej drzwi domów i poddano się wszystkim rozkazom, które w sposób bardzo surowy, wydawała. Normalnie aresztowano mężczyzn i osoby starsze i nie pozwalano im się ruszać z miejsca podczas robionych rewizji w domu. Potem rozkazywano, by się prędko spakować i wypędzano z domu do towarowych aut lub fur, które czekały na podwórzach. Wieziono wszystkich do towarowych pociągów gdzie w warunkach nieludzkich, zaczynała się kalwaryjska droga do ZSSR. U końca potwornej podróży, trwającej nie jednokrotnie kilka tygodni, czekała zesłańców nędza, choroby, śmierć. Wielu zesłańców, zwłaszcza dzieci, nie przeżyło nawet drogi na wschód. Zdarzało się, że trupy leżały po kilka dni w wagonie, lub wyrzucano je przez otwór sanitarny w podłodze.

Miejscami zsyłek były: okolice Morza Białego, zachodnia Syberia za Uralem oraz stepy Kazachstanu w Centralnej Azji. Dokładna liczba deportowanych nie jest znana. Nigdy chyba się nie dowiemy, ilu Polaków przeszło przez tę nieludzką dla nich ziemię.

Gdy sięgam myślą do minionych lat, wydaje mi się, że urodziłam się, czy raczej, że przyszłam na świat... dnia 10 lutego, 1940! Nie~~z~~ jest to bynajmniej data mego urodzenia. Bo tego pamiętnego dnia miałam już 8 lat!

Dlaczego tak myślę?... w mej podświadomości?

Dlatego, że to wszystko, co poprzedziło tę datę, jest jakieś mniej ważne, lub zgoła nie ważne. Bo były to lata "sielskie", beztrioskie. Jako dziecko byłam szczęśliwa. Nasze domowe ognisko zapewniało każdemu z czworga dzieci : Janinie, Edwardowi, Monice i mnie - to wszystko, czego dzieciom było " do szczęścia" potrzeba. Rodzice czuwali nad tym szczęściem.

Miejsce, gdzie się urodziłam i gdzie żyłam do tej pamiętnej daty 10 lutego 1940, nazywało się Jezupol w powiecie stanisławowskim. Tam rodzice moi mieli okazały majątek i tam żyliśmy szczęśliwie. Do przeżyć radości należały, między innymi, wakacje na Pawlikówce, majątku babci. Ach, cóż to były za czasy! Biegało się po cudownym lesie i chodziło na pole, by zbierać po żniwiarzach maki, habry i stokrotki. Pracowali huculi. Mieli oni długie białe, wyszywane koszule. Kobiety nosiły kolorowe chusty na głowie i pełno korali drobniutek na szyi - szczyt moich marzeń! Czasami nosiłam żniwiarzom podwieczorek z ciocią. Oni, gdy nas z daleka spostrzegali, zdejmowali czapki i wołali : Sława Bohu, na co myśmy odpowiadały - Sława.

Rok 1939 był inny. .Wakacji na Pawlikówce nie było, bo w powietrzu coś "wisiało". Starsi ludzie coś sobie po cichu szeptali. Do moich uszu dolatywały pojedyncze słowa lub zdanie jakieś. Mówiono ciągle słowo "Hitler". Wydawało mi się, że to musiał być jakiś straszny bąndyta .. jak z bajki. Mówiono o jakiejś "mobilizacji", o zajęciu Czechosłowacji... Ale do nas te rzeczy dochodziły tylko przez przyrząd ochronny rodziców, którzy ukrywali przed nami nadchodzącą grozę. Pamiętam jednak, że w sierpniu tego roku, został zmobilizowany mój ojciec. Pożegnał nas ze łzami i mówił, że wkrótce wróci. Były to jeszcze wakacje. Któregoś wieczora zjawił się rzeczywiście niespodziewanie. Długo z mamusią rozmawiał. Do mnie dochodziły tylko pojedyncze słowa. Ale przeczuwałam, że coś złego się dzieje.

Ogarniał mnie jakiś dziwny lęk przed czymś... Tatus nie pożegnał się z nami, tylko w nocy, gdy już spaliśmy, nakreślił na naszych czołach znak krzyża. I nastąpiła groźna, złowroga cisza.

Coraz więcej wiedzieliśmy o wojnie.., która idzie i jak trzeba się przed nią chronić.

1-go września 1939, to początek. Leciały z nieba bomby. Gwizdy pocisków, ogień, dym, pożary! Wycie psów oznaczało coś tragicznego. Do tego dolatywały odgłosy radia: "Nie poddamy się, będziemy się bić do ostatniej kropli krwi!"

Po kilkunastu dniach zrobiło się zupełnie cicho i radio zamarło. Od czasu do czasu dochodziły do nas smutne, przerażające wieści: "Warszawa skapitulowała!" "Niemcy zajmują miasta!" "Ludność w popłochu ucieka przed siebie." Wielu żołnierzy wracało z frontu. Inni, a tych było dużo, chcieli przedostać się przez granicę rumuńską i przychodzili do nas prosić o cywilne ubrania, by nie wpaść w ręce wroga.

Ojciec nie wracał. Każde szczekanie psa, każde kroki, każde pukanie.. to miał być tatuś. Nie wrócił. Mówiono nawet że został ranny, że widziano go w szpitalu polowym. A nawet szeptem mamusi oznajmiono, że nie żyje. Nikt nie umiał naprawdę nam powiedzieć, co się z nim stało. Spodziewając się najgorszego, mamusia, gdyśmy jej nie widzieli, cicho płakała. Ale wciąż czekaliśmy. Każdy posiłek był przygotowywany z myślą o nim, bo przecież wróci i będzie głodny. Nie wrócił!

Dnia 19 września wielkie poruszenie powstało wśród mieszkańców Jezupola. Widziano już idącą gdzieś od Lwowa Armię Czerwoną, do której dołączali się Ukraińcy. Razem zajmowali miasta, urzędy, aresztowali wielu ludzi i posiedlali się w budynkach publicznych. Nikt nie wiedział co to miało znaczyć. Na razie nic złego nie robili. Wydaje mi się, że nawet otwarto szkoły, ale nie pamiętam, czy byłam jeden dzień na lekcjach. Wiem natomiast, że moja siostra Janina pojechała na pensję do Stanisławowa, gdzie otwarto gimnazjum. W domu naszym była więc mamusia, Edward, mój brat, który miał lat 11 i ja. Monika, najmłodsza nasza siostra 7 lat, była u cioci na rekonwalescencji. W domu był także nasz dziadzio, ojciec tatusia. Był to człowiek ogromnej wiary i pobożności. Jego życiem był Bóg. Od rana do wieczora śpiewał nabożne pieśni. Budziły nas "Godzinki" a do snu układały "Wszystkie nasze dzienne sprawy". Pacierza dzieci pilnował okropnie i biada nam, jeżeli czegoś nie "domówiliśmy". A jaki długi był to pacierz!! - Ojcze nasz, Zdrowaś Mario, Wierzę,

10 Przykazań Bożych i 5 Kościelnych, 7 grzechów głównych /dla przypomnienia/, Pod Twoją Obronę. A jeszcze 4 rzeczy ostateczne i 6 prawd wiary. Na koniec Aniele Boży. No i wieczne odpoczywanie. Czasami i nam już się chciało "wiecznie odpoczywać", bo tak byliśmy tymi pacierzami zmęczeni. Ale dziadzio był nieugięty, nie pomagały w stawianictwa rodziców, by pacierz trochę skrócić. Tylko na wielkie święta i nie raz w niedzielę, można było sobie darować 7 grzechów, lub rzeczy ostateczne, bo: "chybaście dobrze w kościele się modlili"... - mówił dziadzio, by się przed swym sumieniem usprawiedliwić.

Ten święty starzec był częściowo sparaliżowany i leżał w łóżku z długim różańcem w ręku. Zawsze mu się wargi modlitwą ruszały. Zaczynał dzień pieśnią "Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą".. i cały dzień te wargi chwaliły Pannę Świętą i Jej Syna. Tak. Trzeba było się modlić. Ale trzeba było też żyć na miarę modlitwy. Tego uczył nie tylko słowem, ale przede wszystkim przykładem. Nie wolno więc w domu, nam dzieciom się było kłócić, przezywać, szturchać, kłamać. To były w jego oczach przestępstwa. Mówił: "Bozia wszystko widzi". - "Kopnąłem Monikę pod stołem, mówi Edward, "czy Bozia widział?" - Na to dziadzio z przerażeniem wyrozumiałym przecieżył: "Wszystko i wszędzie Bozia widzi i pod stołem też ". Nie było więc rady. Ani pod stołem nie mogliśmy sobie dawać szturchańców i robić naszych porachunków. ①

Zupełnie nie pamiętam Bożego Narodzenia w tym roku. Żyliśmy w ciągłym oczekiwaniu Ojca i nic nas nie cieszyło . Okna były z jakiegoś powodu pozasłaniane grubymi kotarami, by światło się nie przedostawało na zewnątrz . Kogo żeśmy się bali? Nie wiem.

Dni były bardzo szare i smutne. Ciagle jakieś wiadomości morderstw, napadów , kradzieży, dochodziły do nas. Nie wiedzieliśmy kto kogo i za co mordował. Wojnę przegraliśmy i z tym się trzeba było pogodzić, ale dlaczego jeszcze była ta druga "wojna" i o co? Nie wiedzieliśmy, przynajmniej my, dzieci.

Zima tego roku była bardzo ciężka. Śnieg zasypywał drogi i domy, i kto mógł tylko, nie ruszał się z domu.

Dziwny niepokój wzbudzał pociąg towarowy, stojący na ślepych torze na stacji. Mimo, że był to towarowy pociąg, miał wewnątrz wagonów prycze, które dzieliły horyzontalnie wagon na dwie części. W podłodze zaś były duże otwory. Ludzie pracujący na dworcu kolejowym, martwili się tym pociągiem. Po co on stoi? Ale nikt nie przewidział, jaki był jego cel.

①

Pamiętam, że na naszych gruntach stała dosyć duża kaplica. Był to gipsowy krzyż z jakimś napisem za szkłem. Dziadzio i nasi rodzice, podchodzili do tego krzyża z wielką pobożnością i mówili nam, że leży tam nieznany żołnierz, który zginął w obronie Polski. Odmawialiśmy za jego duszę modlitwy. Robiło to na nas, dzieciach, wielkie wrażenie. Często zbieraliśmy kwiatki i zanosiliśmy "żołnierzowi". Grób nieznanego bohatera, znajdujący się na ziemiach naszych miał dla wszystkich wielkie znaczenie. Po uwolnieniu ojca z niewoli niemieckiej, wystarał się on o specjalną przepustkę, by udać się na zabrane ziemie. Nic nie wiedział o rodzinie. Gdy przyjechał na miejsce, które niegdyś było naszym majątkiem, zobaczył tylko krzyż. Nic więcej nie było. Mówił nam później, że kilka godzin płakał i modlił się zarazem w tym symbolicznym dla nas miejscu. Myśląc, że nikt z rodziny już nie żyje, Tatus w krzyżu, świadku historii naszej rodziny i symbolu jej dziejów, zamknął bolesną tajemnicę swej tragedii. Chciałabym pojechać kiedyś na tę ziemię naszą i zobaczyć, czy krzyż nadal stoi na straży tego, co tam się działo. Mówi o tym, w co ludzie, których zdradziecko wypędzono z ich ziemi, wierzyli.

Dnia 10 lutego, o godz. 4-tej rano, zostaliśmy obudzeni straszliwym ujadaniem psów, odgłosami wołających się ludzi i stukotem po zamarznietej ziemi butów. Z podwórza rozległo się już wyraźne wołanie po rosyjsku "Otwieraj" i walenie w drzwi. Zerwaliśmy się z łóżek przerażeni. Mamusia podeszła do drzwi. Głosy zewnątrz były coraz silniejsze: "Otwieraj, bo jeżeli nie, to siłą drzwi otworzymy." Mamusia, która znała rosyjski, tłumaczyła im, że jest sama z dziećmi, i że o tej porze nikomu domu nie otworzy. Złowrogie głosy się wzmogły i zaczęło się walenie kolbami karabinowymi w drzwi. Trzeba było otworzyć. Do domu weszło kilku uzbrojonych żołnierzy rosyjskich i kilku cywilów, ukraińców, którzy mieli złoty niebieskie opaski na rękawach. Przewodniczący NKVD. stał przy mamusi i powiedział jej, trzymając rewolwer w ręku, że nie wolno jej się ruszać. Inni rozbiegli się po domu i szukali czegoś wszędzie: w szafach, w szufladach, w kieszeniach ubrań, w pudełkach z biżuterią.

Brat mój i ja, przerażeni i nie ubrani jeszcze całkowicie, wybiegliśmy na podwórko, gdzie nasz pies, Budrys, był okropnie. Nie wiedzieliśmy, co to wszystko ma znaczyć, ale przeczuwaliśmy, że jest z nami źle. Brat mój zdecydował, że pewnie trzeba będzie się zżegnać z domem, a więc poszliśmy do stajni, do zabudowań gospodarczych, głaskać nasze zwierzęta, zwłaszcza konie. Psy były niemiłosiernie. Jakimś instyktom wiedzeni, a może przypomniały się nam opowiadania słyszane od tatusia, ucałowaliśmy ściany domu, a później Edward powiedział: "Salutuj", śpiewamy Jeszcze Polska". Gdy mu powiedziałam, że nie mogę salutować, bo nie mam czapki i że przecież jestem dziewczynką, odrzekł mi: "To nic, salutuj ci mówię"! Stanęliśmy więc na baczność na śniegu, wśród wyjących psów i śpiewaliśmy nasz dziecięcy, patriotyczny duet: "Jeszcze Polska nie zginęła!"

Tymczasem w domu unieruchomiona mama wołała przez uchylone drzwi byśmy wracali do domu, bo jest mróz i byśmy przedko pakowali rzeczy. "A gdzie jedziemy?" - pytaliśmy. Żadnej odpowiedzi. Więc na polecenie mamy zaczęliśmy wrzucać do walizek jakieś rzeczy, nie myśląc co. Mamusia prosiła, by brać rzeczy zimowe. A gdy już mogła się poruszać, włożyła trochę biżuterii do torebki i wzięła nieco żywności, choć ją zapewniano, że niczego jej nie będzie potrzeba i że, tam gdzie jedzie, wszystko otrzyma, bo tam "wsioho mnoho".

Nadszedł moment bardzo dla nas dramatyczny, trzeba bowiem się było pożegnać z dziadziem, bo nie wolno było mu z nami jechać, gdyż, jak mówili żołnierze, "staryk", nie zdolny do niczego, więc po co go brać.... Podeszliśmy do jego łóżka. Dziadzio trzymał, jak zawsze, duży różaniec w ręku i modlił się. Twarz miał pogodną, uśmiechniętą. Choć zdawał sobie sprawę z sytuacji, nie narzekał. Ucałowałyśmy jego ręce, a on powiedział: "Dzieci moje, pamiętajcie, bądźcie wierni Bogu, módlcie się codziennie. Kochajcie Ojczyznę. Niech Bóg wam błogosławi". Po czym nakreślił nad nami duży znak krzyża i ucałował nasze czoła. Łzy płynęły nam z oczu i dławiły w gardle, gdyśmy mówili: "Do widzenia dziadziu, do...wi--dzenia." Nie zobaczyliśmy go już nigdy. Został sam ze swoim nieodłącznym różańcem. Nie wiem, co się z nim stało, ale wiem i czuliśmy to bardzo, że podczas naszej kalwaryjskiej drogi wygnania, on modlił się za nas zawsze i może to on właśnie wymodlił nam później wyzwolenie, z tej nieludzkiej ziemi...

Rozkazano nam iść za żołnierzami. Na podwórzu stało ciężarowe auto. Wrzucono nasze bagaże i nas posadzono na nich. Dom na naszych oczach zabito znalezionej tam gdzieś deską i coś tam do niej przyklejono. Psy wyły potwornie. Płacząc, drżąc z zimna, tuliliśmy się do siebie, myśląc o dziadziu i o naszym domu dla nas już nie istniejącym.

Przywieziono nas na stację. Po drodze widzieliśmy innych ludzi, którzy, podobnie jak my, musieli wszystko zostawić i jechać... Mamusia jeszcze w domu pytała o los jej dwóch córek nieobecnych. N.K.V.D. objęcało, że dowiozą je do stacji. Ku przerażeniu wszystkich zaczęto nas ładować do towarowych wagonów, od dawna już na to czekających. To, co się działo wtedy, trudno opisać, a zresztą, może nie zdawałam sobie sprawy z tragedii, jaka nas dotknęła. Ludzie płakali, nawoływali się. Słysząc było przede wszystkim płacz niemowląt. Było strasznie zimno. Wszystko odbywało się w pośpiechu i pod silnym nadzorem N.K.V.D. Nie wywożonym nie wolno się było zbliżać do pociągu. Wydaje mi się, że pociąg stał cały ten i następny dzień na torach. Był to chyba piątek. Około południa przyjechała najpierw Monika, a później Janina. Ta ostatnia mogła być uniknąć wywozu. Ale zapytana przez mamę, czy chce zostać, absolutnie na to się nie zgodziła i pojechała z nami.

W niedzielę rano ludzie powracający z kościoła, podchodzili pod pociąg. Drzwi były zaryglowane. Przez małe, zakratowane okienka słysząc było jak do nas wołali: "Jedźcie z Bogiem! Odwagi! Ksiadz modlił się za was! Niech Matka Boska was strzeże!"

"My jesteśmy z wami! Ksiądz przysyła wam błogosławieństwo na drogę!"

Po południu pociąg ruszył. Był to moment tragiczny. Ludzie płakali na głos rzucając się sobie w objęcia. Wołali zrozpaczeni: "Ratuj nas Boże! Królowo Polski jedź z nami! Gdzie my jedziemy? Dokąd? Kiedy wrócimy?" Szloch pomieszany z jękiem dzieci i z głośną modlitwą niektórych w końcu się uciszył. Wszyscy zaczęli śpiewać "Kto się w opiekę". I jakby w tym tragicznym momencie, iskra nadziei weszła do serc. "Śmieie rzec może mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga." Tylko takie słowa mogły ukoić ból, który rozrywał serca. A w nich czaiła się też przecież czarna chmura niepewności i najgorszych przeczuć.

Pamiętam, że jakiś straszliwy lęk mnie wtedy ogarnął. Zaczęłam bardzo płakać. Znikały nam z przed oczu widziane przez zakratowane okienko znane ziemie. Od czasu do czasu, któryś z pilnujących drogi mówił: przejeżdżamy Lwów, Kijów itp....A mnie przed oczyma stał ciągle błogosławiący nas dziadzio. Żałowałam ogromnie, że nic mu nie powiedziałam. Widziałam go uśmiechniętego i pytałam się, co się z nim stało. Czy umarł z zimna i głodu? Czy może ktoś się nim zajął? Pociąg, pełny poukładanych na pryczach więźniów, pędził w stronę Rosji. Ludzie mało mówili, tylko od czasu do czasu słyhać było rozpaczliwy szloch. Nikt nie wiedział gdzie nas wieziono. Raz na dzień ze zgrzytem otwierały się zakratowane drzwi wagonu i wchodzili milicjanci uzbrojeni, by nam postawić na środku jakąś kaszę, czy zupę. To był nasz jedyny posiłek. Najgorzej było z niemowlętami. Nic nie miały do picia. Nie było gdzie i w czym prać pieluch. Na wszystkie sanitarne potrzeby, była dosyć duża dziura w podłodze wagonu, przez którą także widać było uciekająca z pod kół pociągu ziemie. Zima była bardzo ciężka i niejednokrotnie pociąg musiał stawać na polu, bo olbrzymie zasypy śniegu nie pozwalały mu jechać dalej. Wtedy mobilizowano, pod nadzorem, mężczyzn, by odgarniali śnieg.

Makabryczna ta podróż trwała około 20 dni. Co się działo w sercach ludzi, to trudno sobie wyobrazić. Były momenty, że czarna rozpacz ogarniała duszę. Jako dziecko, nie zdawałam sobie w pełni sprawy, z tragizmu naszego położenia. Jechaliśmy bowiem w nieznane, w warunkach nieludzkich. Co z nami będzie? Czy wrócimy? - Wiem, że ja również zadawałam sobie w sercu takie pytania. Często płakałam, zwłaszcza, gdy widziałam chorego brata, który w gorączce prosił mamę o herbatę. Herbata, to był luksus nie do osiągnięcia.

Pamiętam moment przekraczania granicy polsko-rosyjskiej. Ludzie, którzy ciągle siedzieli przy okienku, by się zorientować w kierunku podróży, spostrzegli, że opuszczamy Polskę. Podniósł się łzami dławiony krzyk rozpacz i wołanie: "Jezu, jedziemy na Sybir!" Niektórzy zaintonowali "Jeszcze Polska", inni cicho płakali. I wtedy w sercu moim zrodził się przeraźliwy smutek. Wydawało mi się, że coś się już bezpowrotnie skończyło, że czeka mnie jakiś bardzo ciężki los.

Ze względu na olbrzymie zasy śniegu, pociąg często stawał. Angażowano mężczyzn, którzy byli z nami do odgarnywania śniegu. Trwało to czasami kilkanaście godzin. Bywały dni, że stojąc na pustym polu, nic nie dostawaliśmy do jedzenia. Wiem, że podsadzano dzieci, by przez kratkę okienka mogły zgarnąć trochę śniegu, który zastąpić musiał jedzenie i picie.^① Niemowlęta ciągle płakały z głodu i braku higieny. Z nimi rozpaczliwie nie raz płakały matki. Uspakajała wszystkich tylko regularnie odmawiana modlitwa. Rano i wieczór wszyscy razem odmawialiśmy "Pod Twoją obronę", bo tylko Jej obrona mogła nas wybawić ze zwątpienia i przerażenia. Modlitwa i tylko modlitwa trzymała nas w nadziei przez cały czas zesłania. Ja często przypominałam sobie słowa dziadzia i chciałam przynajmniej w ten sposób okazać mu miłość i wierność. Dlatego modliłam się jak umiałam, ale zawsze. W modlitwie zawsze szukaliśmy ratunku.

Po długiej, makabrycznej wprost podróży, która, jak wiemy pozostawiła po sobie szlak "grobów" niewykopanych - umierających wrzucano wprost do śniegu - pociąg stanął na jakiejś stacji, a byliśmy już bardzo daleko od polskiej granicy, i rozkazano nam swyjsć z wagonów i przejść do jakiejś dużej sali. Zmęczeni, głodni, zmarznięci, rozłożyliśmy się z naszymi bagażami na podłodze i zasnęli z wyczerpania. W środku nocy rozpętał się potworny pożar w budynku. Rozespani ludzie krzyczeli, rzucali się do drzwi i okien. Dorośli wyrzucali dzieci wprost na śnieg. Cudem ocaleliśmy. Ludzie tamtejsi mówili, że miejsce to, to dawna cerkwia. Ciągle tam były pożary. Nikt nie wie dlaczego...

Po tej tragicznej nocy, wieziono nas archaicznymi wozami znowu w nieznaną. Celem była Dżytygara w Kustanajskiej Oblasti. Tam zakwaterowano nas w olbrzymiej sali, na podłodze, jedna rodzina obok drugiej. Codziennie sprawdzano obecność. Oficer N.K.V.D. miał dokładną listę deportowanych i każdego zesłańca imię było zanotowane. Nazajutrz starsi dostali rozkaz udania się do pracy, dzieci miały być zapisane do szkoły. Nigdy w szkole tam nie byłam.

①

W wagonie było bardzo zimno. Nie mieliśmy okrycia, więc trzęsąc się układaliśmy się do snu. Ponieważ na pryczach było bardzo ciasno, głowy nasze opieraliśmy o blachę wagonu. Rano często trzeba było odrywać włosy, które w nocy przymarzały do ściany wagonu. Była to bardzo przykra i bolesna operacja.

Wiadomo było, że w szkole uczono tylko marksizmu. Toteż rodzice, wychodząc do pracy, nakazywali nam, by w razie zbliżania się zapisujących, uciekać na stepy. Tak też robiliśmy. Jak nam się to udawało, nie wiem. Wiem, że niektóre tylko dzieci chodziły do rosyjskiej szkoły. Opowiadały "jak z nieba" na życzenie dzieci, Stalin rzucał im cukierki, podczas gdy wzywany "Bóg", nic im nie dawał...

Dżytygara była miastem kopalnianym. Wydobywano tam rudę złota. W tej kopalni mężczyźni zjeżdżali na dół do szybów, a kobiety pracowały na powierzchni, pchając wózki z rudą w określonym kierunku. Była to ciężka praca, a mróz sięgał 40 stopni. Mamusia nasza taką też dostała pracę. Przychodziła wieczorami zupełnie wykończona i zmarznięta. Praca była przymusowa i trzeba było wyrobić tzw. normę. Mamusia zarabiała tyle, że nie wystarczało nam nawet na chleb. Była to straszliwa dla nas sytuacja. Na dodatek, zupełnie wyczerpana fizycznie, mamusia zachorowała na tyfus brzuszny i została zabrana do "szpitala" dla zakaźnie chorych, badźo daleko od miejscowości, w której byliśmy. Pamiętam, że zawsze sprawdzano obecność wszystkich. O chorych wiadano. Czasami N .K.V.D. zastawało nas na wspólnej modlitwie. W maju i czerwcu śpiewaliśmy Litanie. Ktoś miał jakiś obżek. Wokół niego gromadzili się wygnańcy i błagali Boga i Jego Matkę o pomoc. O ile pamiętam, N .K.V.D. nie sprzeciwiało się naszym modlitwom. Oficerowie ci stali z boku i przyglądali się nam. Nie wolno nam było mieć ani radia, ani żadnych aparatów. Pamiętam, że wzięto do więzienia młodego Polaka, którego zastano na słuchaniu jakiejś audycji. Gdy mamusia, znająca dobrze rosyjski, wstawiała się za nim, oficer wziął ją na bok i powiedział, żeby nie zabierała głosu w podobnych sytuacjach, bo może ją coś jeszcze gorszego spotkać.

Wiem, że kiedyś nasza czwórka wybrała się, by odwiedzić mamę. Doszliśmy, śmiertelnie umęczeni. Szpital zakaźny, więc nie wpuszczono nas do środka. Przez okno pozwolono nam popatrzeć na mamę. Wyglądała okropnie z ogoloną głową. Coś do nas mówiła. Wreszcie zrozumieliśmy, że prosi o mleko. Po powrocie zaczęliśmy szukać mleka! Chodziliśmy od domu do domu by u jakiejś kobiety wyprosić choć szklankę mleka, za pracę jak noszenie wody, sprzątanie, pilnowanie dziecka. Ale nikt nie mógł nam użyczyć tego cennego napoju. Wreszcie jakaś Rosjanka, wzruszona naszymi łzami, zlitowała się i dała nam szklankę mleka. Jak skarb w banieczce, ponieśliśmy mleko do szpitala do mamy. Ale ona, nieprzytomna, nie poznała nas i nie mogliśmy jej dać mleka. Nie pomogło nasze rozpaczliwe

pukanie do okna. Mąmusia nawet w naszą stronę nie spojrzała. Z płaczem wróciliśmy do domu, wypiwszy po drodze cenne mleko.

Ponieważ nie mieliśmy żadnych środków do życia, chodziliśmy na grzyby, na dalekie stepy. Było to bardzo niebezpieczne, bo można było się zgubić w wysokiej trawie, być ukąszonym przez żmiję itp. Ale głodni, ryzykowaliśmy. Raz nawet z Moniką odważyliśmy się sprzedawać zbierane grzyby, by zarobić kilka groszy na chleb. Przeżyliśmy okropne upokorzenie, gdy rozezłoszczona na nas rosyjska gospodyni, znalazła w grzybie robaka! Płakałyśmy ze wstydu i ze strachu i tak się skończyło nasze sprzedawanie.

Na stepach zbierałyśmy także tzw. kiziaki, wysuszone na słońcu wydzieliny zwierzęce. Był to nasz cenny opał na zimę. Dodawało się do tego cierniste gałązki, suchą trawę i patyki. Razem to wszystko podpalone dawało potrzebny ogień do ugotowania czegokolwiek. Tak nam było ciężko, że mimo iż Janka i Edward byli za mali do pracy, pododawali sobie trochę lat i poszli zarabiać. Janina służyła u jakiejś rodziny, a Edward woził glinę tzw. kałamaszką. Dano mu do tego okropnego konia, który kopał i wrywał się. Dziecko nie mogło go utrzymać. Do dziś chyba ma na rękach znaki sznura, który mu się wrzynał w dłonie. Biegał on do pracy bardzo wcześnie. W południe nosiłam mu nasz jedyny posiłek - osoloną wodę z kawałkami chleba. W wypożyczonej od kogoś banieczce, nosiłam mu tę zupę brnąc do pasa w śniegu. Buty ktoś mi pożyczał. Owijałam banieczkę w szmaty i niosłam ją pod płaszczem zgłodniałemu chłopcu. On już zawsze czekał i tak się cieszył, gdy z daleka nadchodziłam. Czasami, upadałam z moją banieczką, bo było bardzo ślizko. Wtedy skrzętnie zbierałam kawałeczki chleba i kładłam je do banieczki. Ze łzami przepraszałam Edwarda, ale on nigdy się nie gniewał.

On marzył o pensji. Śpieszył się z napełnianiem i wysypywaniem gliny, bo trzeba było wyrobić normę niezależnie od ilości wyspanych kałamaszek, miał dostać na końcu miesiąca zapłatę. Toteż śpieszył się niesamowicie, ale oczy mu się śmiały, bo tyle rzeczy będziemy mogli kupić. Tyle rzeczy! Pantofle dla chorej mamy, cukierki, które się bierze do ust, jak się pije kapiatok - gorąca wodę / tak robili bogaci!/, całą rację chleba, i jedne "walanki" dla całej rodziny! Dlatego też w dzień wypłaty wprost biegłam do niego, by się razem z nim jak najprędzej cieszyć, no i mieliśmy iść do sklepu.

Gdy przyszedłam, Edward siedział skulony i płakał. Myślałam, że jest chory. Gdy go zapytałam, dlaczego płacze, ledwo ze siebie wydusił, że wcale nie dostał tyle pieniędzy, ile mu się należało, że coś mu tam dali, ale nic kupić nie będziemy mogli. Nie mogę wyrazić, jak bardzo tę niesprawiedliwość przeżyłam. Płakałam razem z nim z żalu i jakiegoś buntu. Byliśmy tak potwornie zawiedzeni i wstydziliśmy się wracać do domu. Bo gdzie nasze obietnice? Wszyscy czekają. Nigdy tego nie zapomnę. Edwardowi powiedziano, że jako dziecko, nie ma prawa do zarobku. Ale dlaczego wzięto go do tak trudnej pracy?

Pamiętam też okropnie smutne pogrzeby. Umarła najpierw moja ciocia, młoda jeszcze kobieta, a potem wujek. Pochowano ich na stepach w rowach wykopanych przez przyjaciół. Oczywiście bez trumny. Owinęto ciała w jakieś łachmany i położono na wieczny spoczynek. Ani księdza, ani krzyża. Zrobiliśmy z patyków mały krzyżyk. Na grobie położyliśmy kamyki, bo nic na stepach nie było. Po tych obydwóch pogrzebach, podczas których modliliśmy się gorąco za dusze zmarłych, wracałam do domu płaczac bez końca. Nawet przez sen długo jeszcze podobno płakałam. Grobów nie można było odwiedzać, bo w nocy wyjące hieny i szakale wydrapywały ciała i rozszarpały! ①

Po jakimś czasie pobytu w Dżytygara, powiadomiono nas, że mamy jechać na południe, ale podróż trzeba sobie opłacić. Chociaż mamusia wróciła ze szpitala i gdzieś pracowała, nigdy nie moglibyśmy sobie pozwolić na taką podróż. Wszyscy nasi znajomi, którzy w rodzinach mieli mężczyzn lub starszych chłopców, wyjechali do oznaczonego miejsca. Mamusi nawet nikt nie chciał pieniędzy pożyczyć, bo wiadomo było, że nie ma z czego oddać. Było nam straszliwie ciężko i smutno. Zostaliśmy sami. Wtedy ja też poszłam na służbę. Bawiłam dziecko u jakiejś Rosjanki i sprzątałam dom, by zarobić na podróż. Po jakimś czasie, z ogromnymi ofiarami z naszej strony, zapłaciliśmy ciężarówkę i pojechaliśmy na oznaczone miejsce. Ku naszemu zdumieniu, na pierwszej stacji, gdzie mieliśmy wziąć pociąg, zastaliśmy ludzi, którzy przed nami pojechali. Pociąg bowiem przejeżdżał tamtędy tylko raz na 2 miesiące. Było nam trochę raźniej, że znów znaleźliśmy się razem. Pewnej nocy, gdyśmy już spali na stacji na swoich tobołach, dał się z dala słyszeć gwizd lokomotywy. Rozbudzeni, wszyscy zerwali się na równe nogi, a pociąg zajechał na stację. Był to moment nie do opisania. Ludzie wprost rzucili się na pociąg i z krzykiem pchali się do drzwi i okien, by tylko wejść do środka. Była to okropna walka o miejsce. Nie wiem jak długo to wszystko trwało. Wiem tylko, że myśmy zostali na stacji sami!

① Wigilię w roku 1940 spędziliśmy w warunkach wyjątkowo przykrych. Właśnie w ten dzień, który tak nas nastrojał wewnętrznie, musieliśmy się przenieść z baraku, w którym mieszkaliśmy do innego, który był położony gdzieś daleko za miastem. Temperatura tego dnia wynosiła -40 stopni. Brnąc po zaspach śnieżnych nieśliśmy nasze toboły do miejsca przeznaczenia. Janina miała na nogach sandały, które ze znalezionej starej gumy i z paska od spodni tatusia, zrobił jej Edward, bo buciki, w których wyjechała z Polski, już się rozleciały. Śnieg był tak duży, że pozasypywał lepianki. Chodziliśmy po dachach domów-lepianek, bo zacierały się granice zabudowań zupełnie pograżonych w śniegu. Jak wyglądała Wigilia, można sobie wyobrazić. Spiewaliśmy kolędy i płakali nad naszą niedolą. Może nigdy przed tem nie rozumieliśmy Narodzin Jezusa w stajni Betlejemskiej, tak głęboko i rzeczywiście. To nas pocieszało w tragicznej, wygnańczej sytuacji ludzi, wypędzonych z kraju.

Wtedy mama nie wytrzymała i zaczęła głośno płakać. My wtórowaliśmy jej zrozpaczeni tym, co się stało. Ale zlitował się nad nami kolejarz, Rosjanin, który objezał mamie, że będzie się nami opiekował i podzieli się z nami chlebem, który mu dowożą na stacyjkę. Pamiętam dobrze, że ten moment był naprawdę dla nas tragiczny. W niemym osłupieniu pytaliśmy się siebie, co dalej?. Ratowała nas modlitwa. Zmówiliśmy pacierz raz jeszcze tej nocy i powierzyliśmy nasz ciężki los opiece Matki wszystkich ludzi.. i tych, którzy znowu nie mieli na nikogo liczyć oprócz nie zawodnej zawsze Opatrzności. Modlitwa osuszyła nam łzy i wlała do serc promyk nadziei. Przecież, choć wszyscy nas opuszczają, to Bóg nas nie opuści.

Na stacji pozostaliśmy dosyć długo... Pociąg żaden nie przejeżdżał tamtędy. Zupełnie już oderwani od świata, czekaliśmy na coś, na pociąg... Nie przyjeżdżał. Nasz opiekun był dla nas bardzo dobry i robił co mógł, by nam pomóc. Dzielił się z nami jedzeniem, które mu dowożono raz dziennie.

Któregoś dnia, w biały dzień, podczas gdyśmy się bawili na torach usłyszeliśmy gwizd lokomotywy. Zdziwiony nasz opiekun pobiegł po zieloną chorągiewkę i czekał. Pociąg, zupełnie nie zaplanowany, wjechał na stację. Patrzyliśmy jak na objawienie na to zjawisko. Jakieś głosy z wewnątrz wagonów wołały do nas. W ułamkach minuty zrozumieliśmy, że byli to Polacy, którzy poznawszy, że byliśmy deportowanymi po naszym opłakanym wyglądzie, wołali, by wsiadać na pociąg. Błyskawicznie załadowaliśmy swoje mizerne bagaże i już pociąg ruszył. Dopiero po chwili dowiedzieliśmy się, że byli to polscy żołnierze, bo tak zaczęła się mobilizacja Generała Andersa, o czym nie mieliśmy pojęcia. Był to dla nas dzień wielkiej radości. Opatrzność nie zostawiła nas bez pomocy. Żołnierze dali nam trochę swych sucharów i konserw. Tak dojechaliśmy do celu, gdzie miały być rodziny, które przed nami wyjechały. Ku naszemu zdumieniu, nie było ich tam. Masa innych ludzi, rozłożonych na trawie, czekała na jakiś transport. O naszych znajomych nikt nie wiedział. Do dziś chyba nie wiadomo, co się z tym pociągiem stało. Przynajmniej my nie dowiedzieliśmy się nigdy o ich losie...

O ile pamiętam, miasto gdzieśmy wtedy byli nazywało się Farab. Był to port. Wsadzili nas do tzw. barek bydłychych i mieliśmy jechać rzeką Amu-Darią w kierunku niewiadomym. Warunki była nieludzkie: głód, zaduch, wszy, choroby, brak urządzeń sanitarnych i beznadziejność potworna. Ludzie umierali po drodze. Zatrzymywano się przy brzegu i kładziono ciała na polu przykrywając je trawą wód łez i rozpaczy rodziny.

Podróż Amu-Darią trwała ponad dwa tygodnie. Gdy czasami barka s. tawała przy brzegu, ludzie wybiegali na ląd, by znaleźć coś do jedzenia. Bywały wypadki, kiedy ludzie nie dobiegli i mimo próżb i wołania pozostawiani byli na brzegu. Były to rozpaczliwe sceny. Pamiętam że jakiś pan chciał wrócić po syna. Spadł z wąskiego brzegu barki do wody i utonął.

Rzeka Amu-Daria zapisała się strasznie w mojej pamięci. Ten przejazd po jej złowrogich wodach nigdy mi się z serca nie wymaże. Były to dni czarnej rozpacz, która i nam dzieciom się udzielała. Beznadziejność, strach, głód, brak wszelkiej informacji co do celu tej nieludzkiej podróży, pozbawiał nas chęci do życia. Ludzi skądinąd odważnych, ogarniała straszliwa apatia.

Wreszcie dojechaliśmy do jakiejś miejsciny - portu. Tam nas załadowano na tzw. arby i powieziono w różne strony. Nasza rodzina została przydzielona do Uzbeków, którzy wogóle po rosyjsku nie mówili. Porozumiewaliśmy się na migi. Dano nam w ich lepiance jeden "pokój". Przyszedł odpowiedzialny Uzbek i powiedział nam, że nazajutrz, co świt, mamy się udać do pracy, to znaczy, zbierać watę. Trzeba było odrobić wyznaczoną nam normę. Pamiętam że była to dla nas, dzieci, trudna sprawa, bo musieliśmy rozpywać twardą skorupę ochraniającą mały meszek waty. Palce nasze ciągle krwawiły, a nie wolno było plamić waty! Mamusia zawijała nam je gałganami szmat i tak szliśmy odrabiać naszą "stachanowska normę". Wzamian za pracę mieliśmy otrzymać pieniądze na kaszę. Zdaje mi się że się nazywała "uruk", a podobna była do ryżu. Nie pamiętam, czy tam wogóle widziałam chleb, czy lepioszkę - coś w rodzaju starodawnego podpłomyka. Wiem, że wstawaliśmy około 4-tej rano i szliśmy na pola plantacji bawełny, na półprzytomni po nieprzespanych nocach, bo gryzły nas komary, a w pościeli, na ubitej ziemi pełno było pluskw. Wszy odzieżowe również nam dokuczały, bo nie myśliśmy się porządnie, nie było mydła, nie mogliśmy zmieniać bielizny, bo nam się wszystko wydarło, lub było za małe. W takich warunkach praca nasza była bardzo trudna. Chorowaliśmy na dyzenterię i owrzodzenia. Wiecznie byliśmy głodni i zmęczeni.

Raz nasz gospodarz zaprosił nas na jakieś jedzenie. Sam brudnymi rękami sięgał najpierw do misy, a później podawał kawałeczki tłustego baraniego mięsa każdemu z nas siedzących na matach wokół tej misy. Jedliśmy z łakomstwem, choć obrzydzenie nas brało na sposób w jaki to się wszystko odbywało. Później wszyscy dostaliśmy potwornych torsji, bo żołądki tak wygłodzone nie chciały przyjąć tego luksusu.

Pracowaliśmy, mieliśmy trochę kaszy i nadzieję, że może nie umrzemy z głodu. Ale po nie długim czasie, przyszedł Pretsidadel i powiedział nam, że musimy się zabierać stamtąd. Akuratnie mamusia wyprała w wodzie z popiołu nasze łachmany i rozłożyła na noc na trawie. Był przymrozek i sztywne kikuty naszych rzeczy trzeba było położyć na wóz, i na tym wszystkim posadzono nas. I znów zaczęła się podróż w nieznane. Makabryczna. Muł zaprzężony do arby, popędzany przez Źzbecka, jechał powoli grzęznąc w błocie. Drogi były potworne. Muł często się upierał i nie chciał iść dalej. Arba w błocie grzęzła coraz bardziej. Musieliśmy wstawać i pchać wóz. Mój brat majaczył w gorączce i nie mógł się utrzymać na nogach. Nie mieliśmy nic do jedzenia. Noc się zbliżała. Zostaliśmy z upartym mułem i Źzbeckiem w jakimś lasku. Umierałam ze strachu. Źzbek przeklinał, krzyczał na nas i złościł się na muła. Jak spędziliśmy tę noc, to tylko Bóg wie. Z nastaniem dnia otucha weszła w nasze serca. Jechaliśmy dalej. Modlitwa nas ratowała i w niej szukaliśmy nadziei. Inaczej nie wiem, czy nie ogarnęłaby nas rozpacz.

Były momenty, że byłam tak zmęczona i wątpiałam w lepszą przyszłość. Wolałam nie wiedzieć i już nic nie widzieć. Chciałam nie istnieć. A co się działo w sercu mamy?

Wreszcie dojechaliśmy do portu. Odbiliśmy potworną drogę tą samą rzeką Amu - Daria. Koszmar poprzedni się powtórzył. Byliśmy zawszawieni, cuchnący, a przede wszystkim głodni. Ciągłe nam się śnił chleb i po obudzeniu, tylko na ten temat się mówiło. Choć przez sen można się było "najeść". Chleb był jedynym marzeniem naszego życia. Z radością się mówiło: "Ale cudowny chleb mi się śnił. Już go miałam w ręce, po co mnie budziłaś. Jaka szkoda!"

Wywiezino nas gdzieś pod Taszkent. Z przerażeniem patrzyłam na dziwacznie poubierane kobiety. Miały czarne długie suknie, twarz kompletnie przykrytą i jeszcze zwisała z czoła aż do ziemi czarna, sztywna, gęsta siatka! Potwornie to wyglądała. Bałam się przechodzić koło nich, bo myślałam, że to jakieś czarownice. W tej części ZSSR zamieszkaliśmy najpierw w tzw. jurcie, szałasie plecionym z bambusów, po kilka rodzin w każdym - jedni na drugich! Pamiętam, że w takiej jurcie przeżyłam drugie w Rosji Boże Narodzenie. Ktoś nie zapomniał o tej dacie. Był to bardzo smutny dzień. Mowy nie było o żadnej wigilii. Wtedy nic nie mieliśmy do jedzenia. Z moim bratem, biegaliśmy po okolicy, by złapać psa i zabić go. Z głodu nie mogliśmy wytrzymać, ale nie udało nam się.

Była w naszej jurce niejaka pani Jasińska. Miała chyba trójkę dzieci. Nosiła zawsze przy sobie jakiś woreczek wypełniony pszenicą. Nie wiedzieliśmy dlaczego. Właśnie w ten wigilijny wieczór, rozwiązała woreczek i ugotowała pszenicę. Rozdała po garsteczce ziarenek swym dzieciom, które uradowane, zajadały łapczywie ten posiłek. Monika, moja młodsza siostra, patrzyła okropnie chciwie na ręce pani Jasińskiej myśląc, że jej się coś z tej pszenicy dostanie. Pani Jasińska, w rozterce, nawet już sięgała do garnuszka, ale potem cofała się przed tym gestem, może myśląc, że tak pozbawi następnej porcji ziarna swoje dzieci. Wtedy Monika wybuchnęła płaczem mówiąc, " ja jestem taka głodna!" Pani Jasińska trzęsącą ręką dała nam po kilkanaście ziarenek pszenicy. To była nasza wigilia. Wiem, że śpiewaliśmy "Bóg się rodzi" i inne kolędy. Płakaliśmy myśląc o tatusiu, o którym nic nie wiedzieliśmy nadal.

Odkryliśmy, że kobiety kupują na kartki chleb i że im czasami do wagi dodają malutki kawałeczek. Staliśmy więc pod sklepem zebrząc je o ten kawałeczek. Czasami nam go dawały i była to radość na cały dzień.

Stamtąd gdzieś nas wywieziono. Nie raz wagon nasz odczepiano i doczepiano do różnych pociągów. Kilka dni staliśmy na jakimś głuchym torze, nie wiedząc po co i dlaczego. Głód odbierał nam już chęć do życia.^① Żadnej higieny. Wszy maszerowały po naszych łachmanach. Wreszcie powieziono nas arbami w jakimś kierunku. Długo jechaliśmy przez zupełne pustkowia. Stanęliśmy na polu, gdzie była stajnia, w bardzo złym stanie. Tam mieliśmy zamieszkać. Ziemia była pokryta słomą strasznie brudną, drzwi były połamane, a otwory na okna - zatkane wiechciami słomy. Gdy padał deszcz, lało się nam na głowy. Podstawialiśmy wszystkie naczynia, by wodę zatrzymać i by nam nie moczyła resztek pościeli. Kilka rodzin dołączyło się do nas. Sanitarnych urządzeń żadnych. Woda była w bardzo głębokiej studni i aby wyciągnąć wiadro mułowatej wody, trzeba było mobilizować mężczyzn, bo wymagało to wielkiego wysiłku.

W oddali mieszkali tubylcy. O ile mnie pamięć nie myli, nazywali się Karejcy. Mieszkali oni w bambusowych szałasach i dziwacznie się ubierali. Na nasz widok wybuchali ogromnym śmiechem i często gromadami przychodzili pod stajnię, siadali w kuczki i śmieli się z nas, co nas doprowadzało do szału. Pokazywali nas palcami i coś mówili do siebie w ich języku. Kiedyś któryś z panów zapytał mówiącego po rosyjku nadzorca naszego, co mamy z nimi robić. Ten nam poradził, żeby zdobyć nogę wieprza i pokazać im. To jest jedyne lekarstwo. Z trudem z miasta ktoś przyniósł taką nogę.

- ① Przypominam sobie, że mieliśmy małą apteczkę. Głód tak nam skręcał wnętrzności, że razu pewnego, chyba bez wiedzy mamusi, zabraliśmy się do jedzenia pigułek i do picia po łyżeczce lekarstw w płynie. Napewno narażaliśmy się na śmierć, ale już wtedy było nam wszystko jedno chyba. Nie pamiętam, jakie były w ówczas moje odczucia.

I rzeczywiście, gdy się im tę nogę pokazało, jak rażeni piorunem, wrzeszcząc, uciekali. Tak pozbyliśmy się tych natrętnych wizyt. Oni też kupowali wszystko co się świeciło, błyszczało. Wszelkie świecidełka kobiety wiązały sobie do tysiąca warkoczyków. Wtedy już wszystkie nasze zapasy się skończyły. Co tylko można było sprzedać, już dawno było sprzedane.

Starsi ludzie od razu zostali wezwani do pracy, do kopania rowów /okoppów?/. Była to bardzo ciężka praca. Mamusia upadała z wyczerpania, ale szła, bo za pracę tylko można było dostać trochę jęczmiennej mąki, z której raz na dzień robiła nam zacierkę. Pamiętam, gdy śpiąc w naszych barłogach budziliśmy się rano, mamusia nam mówiła, że jeszcze jest bardzo wcześnie i nie pozwalała nam wstawać. Chciała, byśmy jak najdłużej spali, bo tak nie odczuwaliśmy tego straszego głodu.

Tam spotkaliśmy pewnego pana, strasznie chudego, słaniającego się na patykach swych nóg. Wszy po nim łąziły. Nazywałyśmy go "pan wszarz". Nic nie mówił i nie wiadomo było, skąd tam się wziął. Mamusia dawała mu z litości trochę zacierki, bo nie pracując, nic nie jadł. On pomagał w wyciąganiu wody.

Gotowanie było swoiste: na dwóch kamieniach kładło się starą łopatę i podpalało się kolczastymi roślinami i wydzielinami zwierząt. Zbieranie "opału" było bardzo problematyczne. Szliśmy daleko w pole. Raz, pamiętam, że weszliśmy na czyjś grunt i gromada chłopaków biegła za nami ze sierpami, mimo, że ze strachu, zostawiliśmy uzbierane, suche łądygi. Wiem, że nie mając siły biedz, zostałam sama, i cudem z życiem uszłam. Tylko opiece Matki Bożej zawdzięczam me ocalenie, bo do niej cały czas się modliłam. ①

Po jakimś czasie, z braku żywności, przepracowania i braku higieny, wszystkie dorosłe osoby rozchorowały się, i jedna po drugiej, nie stawiawszy się do pracy, zostawały przez nadzorców wywożone do "bolni", szpitala... Na pół żywych, mających z gorączki, wsadzano na wozy i znikali nam z oczu. Wszyscy chorowali na tyfus, na malarię i mieli okropne owrzodzenia. Mamusia nasza też została zabrana. Nie przyszła do pracy. Sprawdzili...i wywieźli... W stajni, na pustym polu, z daleka od cywilizacji, otoczeni nieprzyjaznym sąsiedztwem tubylców, zostaliśmy sami. Najstarszą była moja siostra Janina, lat 13. Inne dzieci : lat 2, 4, 6 itd. W sumie dwanaścioro. Jak Janina dawała sobie z nami radę, co musiała przeżywać, gdy już nikogo z rodziców dzieci nie było z nami, trudno sobie wyobrazić. Pan "wszarz", który jeszcze nam pomagał w wyciąganiu wody, padł kiedyś przy studni, i chyba zjadło go robactwo! Bardzo płakałam nad szkieletem naszego dobroczyńcy.

① Wiem, że chłopcy pobili mnie okropnie i nie rozumiem, jak s,amej, udało mi się uciec. Monika i Stasia Jakubowska, które ze mną były, uciekły ze strachu i myślały także, że może dobiegłszy do stajni, znajda tam dla mnie kogoś na ratunek. Zapomniały, że byliśmy już sami, bez opieki starszych. Od tego momentu bardzo baliśmy się wychodzić na poszukiwanie "opału", by nie wpaść w ręce gromady chłopaków z sierpami w ręku, którzy dość blisko nie raz podchodzili do naszej stajni. Żyliśmy w,ówczas w ciągłym strachu.

Więc nie było komu nam wody wyciągnąć. Gdy wszystkie większe dzieci już miały prawie wiadro pod ręką, nie mieliśmy siły go podnieść. Spadało z hukiem na dno studni. Jaka to była okropna dla nas męka. A bez wody nie mogliśmy żyć przecież! Nie pamiętam, jak dawaliśmy sobie radę.

Racje mąki, które za pracę otrzymywali starsi, już nam się skończyły. Nikt nie pracował. Był niedaleko pasterz kóz więc do niego wysyłaliśmy młodsze dzieci, by uzbierały kawałek lepioszki. Co czasami im się udawało. Na polu szukaliśmy grzybów. Były to dziwne grzybki. Wyglądały jak sosenki koloru brunatnego. To była dla nas wielka uczta, gdy z grzybków Janina gotowała nam zupę... Chłopcy chodzili na ogrodzone pastwiska, przedostawali się przez ogrodzenia z kolczastego drutu i kradli krowom tzw. makuch - otręby słońecznika, z którego pod prasą wyciskano olej. Kawałki tego makuchu Janina przygrzewała na łopacie i dawała nam do jedzenia. Nie było nic innego! Chociaż niszczył on nam i rozstrajał żoładki, to zaspakajał potworny głód, który nas trawił. Dziś nie wiem, jakim cudem myśmy to wszystko przeżyli. Zawdzięczam to napewno Boskiej Opatrzności, która nie pozwoliła nam tam zginąć. Pewnego dnia, pod wieczór, Janina piekła placki z cudem gdzieś zdobytej mąki jęczmiennej. Łopata się rozgrzała, bo zbieraliśmy cały dzień nasz osobliwy opał, a na niej placki! Dzieciarnia z radości i nie mogąc już wytrzymać, otoczyła ognisko i śpiewała "Stary niedźwiedź mocno śpi". Raptem, tuż koło nas stanął na koniu jakiś człowiek, który przysłuchiwał się naszym śpiewom i patrzył na nas z zaciekawieniem. Po chwili zszedł z konia i podchodząc do nas zapytał, co my tu robimy, gdzie są nasi rodzice i kto się nami opiekuje. Wskazaliśmy na Janinę. Pan ten wziął ją na bok i powiedział jej, że nazajutrz przyśle wielbłąda i że ona ma załadować młodsze dzieci na wielbłąda, a reszta ma iść do Szacherziabu / zdaje mi się / na piechotę, bo tam są zorganizowane obozy żołnierzy i opieka nad cywilami. Rzeczywiście. Wielbłąd i arba zjawiły się o 4-tej rano. Dzieci malutkie i bagaże- resztki naszych łachmanów, załadowano na wielbłąda i arbę, a my, starsze dzieci, poszliśmy na piechotę. ① Droga wynosiła około 40 km. Oddalone od wszelkich źródeł cywilizowanego świata, same, bez opieki dorosłych, nic nie wiedzieliśmy o amnestii, o próbach Generała Andersa wydostania cywilnych osób z obozów przymusowej pracy i widokach wyjechania z ZSSR. Były to konsekwencje Układu Sikorski-Majski z dnia 30.VII.1941 r.

① Monika opowiadała nam później, że podróż na arbie była bardzo trudna. Nasza kuzynka H,ela, była ciężko chora i leżała skulona w wielkim bólu. Uzbek, który wioził dzieci, często kazał Heli wstawać i iść za arbę, bo "mułowi było za ciężko". H,ela nie miała wogóle siły i padała z wyczerpania.

Monika wiozła w banieczce "kumyz", końskie mleko, które przed wyjazdem, wieczorem poprzedniego dnia, otrzymaliśmy za lustro. Ponieważ się błyszczało, ludzie tamtejsi chcieli go "kupić". Nie mieli pojęcia, co to było, bo nigdy lustra w życiu nie widzieli. Gdy dziewczęta zobaczyły się w lustrze, z krzykiem uciekały, myśląc, że to czary. Ale dali nam za to lustro, które nie wiem jakim cudem jeszcze się ostało, właśnie końskie mleko. Monika wiozła je jak skarb, ale po drodze wyboistej, wszystko jej się wylało. Mówiła nam później, że chciała zostawić to mleko dla nas... Tę drogę, w towarzystwie niegodziwego Uzbeka, odbyła ona /najstarsza z grupy, bo starsza od niej H,ela była chora/ w wielkim strachu. Mało szczegółów z tej drogi pamięta.

Jednym z już zmobilizowanych żołnierzy, był ten pan , który nas cudem odnalazł na tej nieludzkiej ziemi. Gdyby nie on...

Nie wiem, jak długo jeszcze moglibyśmy tak żyć, kraść makuch krowom, pić wstrętą, zamuloną wodę, być na pastwie wszy i wszelkiego innego robactwa. Nie wiem. Organizowane skupiska ludzi cywilnych a zwłaszcza dzieci, miały na celu wyrwanie tych szkieletów ludzkich ze szponów niechybnej śmierci.

Nasza podróż w kierunku takiego właśnie obozu była bardzo ciężka. Upał był potworny, nie mieliśmy jedzenia, nogi nasze okaleczone i krwawiące na bezlitosnych kamieniach na drodze, odmawiały nam posłuszeństwa. Początkowo szliśmy za wielbłądem, ale gdy on nam zniknął z oczu, ogarnął nas strach i przerażenie. Napotykanymy od czasu do czasu przechodniów pytaliśmy się o kierunek drogi. Raz celowo zeszliśmy z drogi, ujrawszy w oddali jakieś szałas. Chcieliśmy się choć wody napić. Byli to chyba cyganie. Puścili na nas psa, który choć nie pogryzł nas, nabawił nas potwornego strachu i podarł zębami resztki naszych łachmanów. Z płaczem wróciliśmy na tułaczą drogę, wyczerpani do reszty. Była to droga zaiście kalwaryjska! Epilogiem tej drogi była przeprawa przez rzekę. Coprawda był tam człowiek, który miał tratwę, ale nie mieliśmy ani grosza przy sobie. Wskazał nam więc, gdzie jest najpłytsza woda i zaczęliśmy naszą przeprawę. Woda sięgała nam pod szyję, ale przeszliśmy cało. Na drugim brzegu rzeki, usiedliśmy na kamieniach by odpocząć i ochłonać ze strachu i emocji. Wtedy poczułam się tak strasznie słaba, że oznajmiłam mej siostrze, że się stąd nie ruszę. Był mi już wszystko jedno. Nie chciałam żyć. Zdesperowana opiekunka, przerażona moją decyzją, błagała mnie, jak umiała, abym wstała. Mówiła, że mnie weźmie na plecy, że mnie zanieśie, jak nie mogę iść. Nic nie pomagało. "Widzisz," mówiła, "Tam w dali już widać światła, tam jest obóz i tam Monika napewno płacze czekając na nas. Zmówmy pod Twoją obronę i chodźmy. To już tak blisko". Przykro mi się zrobiło, że Janina tak mnie musi prosić. Resztkami sił wstałam i zmówiwszy modlitwę, zaczęłyśmy biec. Inne dzieci z nami. Było nas razem chyba sześcioro. Zaczęliśmy biec... biec... biec... przed siebie.

Obudziłam się pod jakimś namiotem. Koło mnie była Janina i Monika zatroskane, ale uśmiechnięte. Nie wiedziałam, gdzie byłam i co się ze mną działo. Nic nie pamiętałam. Później dowiedziałam się, że po dobiegnięciu w nocy do obozu, padłam zemdlona i dwie doby spałam. Bardzo się o mnie martwiono...

W tym obozie było bardzo dużo ludzi, a zwłaszcza dzieci. Jak wyglądaliśmy, to trudno opisać. Gromada wychudłych nędzarzy!

Siedzieliśmy na swoich tobołkach, brudni, wychudzeni, cuchnący, pełni robactwa we włosach i odzieży. Ale jutrzienka nadziei na lepsze jutro już świtała, choć jako dziecko, jeszcze nie wiedziałam, co to miało być i jak się to miało stać. Prawie się już przyzwyczaiłam do tego potwornego losu, który tak niespodziewanie i niezasłużenie nas spotkał. Nie raz myślałam, czy wrócimy do domu, czy spotkamy tatusia. Ale nędza, głód i niepewność jutra, odsuwała te marzenia i myśli na drugi plan. Chciałabym odtworzyć moje uczucia z tej epoki, ale po za fragmentami przeżyć, które wryły się w pamięć i serce, wszystko pozostało jako niezatarte wspomnienie potwornych, koszmarnych dni niewoli, niedoli i beznadziejności, która i mnie, dziecko też ogarniała. Chyba nie wyobrażaliśmy sobie, że z tego piekła można się wyrwać. Czy starsi mieli jakąś nadzieję? Jedno jest pewne, że gdyby nas nie wyratowano wtenczas, podzielilibyśmy losy tych, którzy na zawsze pozostali na nieludzkiej ziemi, bo śmierć przerwała ich katongi.

Z tego obozu poszliśmy odwiedzić mamusię, która była w szpitalu. ① Sytuacja była rozpaczliwa. To nie był szpital, to było raczej s,chronisko w opłakanym stanie dla tych, którzy zaraźliwie chorzy, byli osunięci od reszty, jeszcze chodzących o własnych siłach. Jedni chorzy byli na pryczach, inni leżeli na podłodze. Pełno było much, pluskiew i komarów w nocy. Nie możliwe było się obronić przed robactwem. Higiena nie istniała. Mamusia nas nie poznała. Nie pomogły nasze płacze i szlochy. Trzeba było ją w takim stanie zostawić. Otrzymałaliśmy polecenie od Polskich już władz, że musimy się udać nad morze Kaspijskie. Przygotowywano ten transport. Żołnierze dzielili się swoimi skromnymi racjami żywności, ale byliśmy naprawdę głodni. Chyba to tam było, że chodziliśmy z innymi dziećmi do restauracji, aby zjadać pozostawione resztki przez Rosjan na talerzu.

Podróż do Krasnowodzka była bardzo trudna. Wycieńczeni, głodni i znękani jechaliśmy pociągiem, który ciągle stał na stacjach. Nie wiedzieliśmy dlaczego. A geniusz Gen. Andersa przewidział, że Stalin może wycofać swe pozwolenie na uwolnienie cywilów z Rosji, i śpieszył się z dowiezieniem ich do perskiej granicy. Nie miał jednak środków. Dlatego zdany był na organizacje sowieckie i od nich wiele spraw jeszcze zależało. Oczywiście na te tematy nic wtedy nie wiedziałam, a jeżeli coś dochodziło do mej świadomości, to dziś nie pamiętam w jakiej formie. Dziś wiemy, że transport dzieci pozbieranych przez biskupa J.Gawlinę w roku 1943 przyjechawszy do Krasnowodzka, nie dostał pozwolenia przejazdu przez Morze Kaspijskie..... Zostały na zawsze w nieludzkiej ziemi.

- ① Od, wiedzieliśmy także innych rodziców dzieci, które były z nami. R. Magnowska, moja cioteczna siostra, będąc w tym "szpitalu" zgubiła na długo swego synka Tadzia. Jako czteroletni chłopczyk został z nią i siedział gdzieś sam na korytarzu. Gdy oprzytomniała, dziecka nie było. Długo go szukała. Znalazła go po kilku miesiącach w jakimś obozie polskich dzieci. Widocznie się gdzieś zabłąkał, lub dobrzy ludzie oddali go polskim władzom które zbierały polską ludność ^{przy} obozach wojskowych.

Podróż do Krasnowodzka miała wiele tragicznych momentów. Gdy nie raz pociąg dłużej stał na stacji, na polu prawie, ludzie wychodzili z wagonów, by sobie coś ugotować. Może mieli naftowe piecyki. Nie wiem. Ale wiem, że pociąg niespodziewanie gwizdał i ruszał. Wtedy ludzie biegli do wagonów, rozlewali gotujące się pożywienie na siebie, parzyli się, lub nie dobiegłszy, zostawali na polu, ku rozpacz rodziny. Były to rozdzierające sceny. Wiem, że po takich przeżyciach, śniło mi się często, że biegłam za pociągiem i z wrzaskiem rozpacz budziłam się.

W Krasnowodzku, nasza mała dziecinna gromadka pod opieką niestrudzonej, 13to letniej Janiny, otrzymała od wojska jakieś puszki i s,uchary. Dzieci były głodne. Pojęcia nie mieliśmy, co może być w puszkach. Otworzył nam je ktoś. Zjedliśmy łąpczywie zawartość. Okazuje się, że była to surowa zupa. Na nasze wygłodzone żołądki było to nie do strawienia. Wszyscy dostaliśmy okropnych torsji i przeprawa w dusznych salach okrętu, była straszna. Nie pamiętam jak długo trwała nasza podróż morzem Kaspijskim. Przyjazd do Pahlawi bardzo dobrze pamiętam. Wysiedliśmy z olbrzymiego Statku, ledwo żywi. Było to w kwietniu 1942. Słońce prażyło niemiłosiernie. Namioty czekały na nas tuż przy plaży. Zmęczeni, niewierzący jeszcze oczom, że już jesteśmy wolni, zaczęliśmy nową kartę naszego życia. Zaczęła się ona od kwarantanny. Słaniające się na nogach szkielety ludzkie, miały być przebadane, wykapanie i wydyzefekowane. Poddaliśmy się tym wymaganiom bez oporu. Pamiętam jednak dwie rzeczy bardzo wyraźnie z tych pierwszych przeżyć na wolności: radość nieopisaną ludzi dorosłych, którzy rzucali się sobie w ramiona krzycząc: "Jesteśmy wolni", "Niech żyje Polska", oraz śmierć wielu dzieci i dorosłych, którzy już na wolności umierali jak muchy. Bardzo mnie ich śmierć przejmowała. Każdy z nas musiał się przedstawić w biurze sanitarnym do kontroli. Poszły najpierw dwie moje siostry i wróciły z ogolonymi na pałkę głowami w dziwacznym nowym ubraniu /z darów amerykańskich/. Wyglądały tak komicznie, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Nie mogły mi tego darować, a ja do dziś mam wyrzuty sumienia, że dodałam jeszcze goryczy, do i tak już ich wielkiego upokorzenia. A sama postanowiłam nie dać sobie obciąć włosów. Tak się też stało. Na początku nawet profilaktycznie wszystkim golono włosy.

Nie wiem jakim cudem, ale tylko paru dziewczynkom udało się wyjść cało z tej przykrej dla nas operacji. Moje długie warkoczki zostały uratowane. Nie musiałam, jak moje dwie biedne siostry nosić śmiesznej chusteczki na głowie.

W Pachlewi byliśmy krótko. Nigdy nie zapomnę pierwszej Mszy św. celebrowanej przez biskupa Gawlinę na plaży w tym porcie. Była to chyba dla wszystkich pierwsza Msza św. podczas wygnania. Ludzie byli tak przejęci i wzruszeni, że na głos płakali. Wiem, że i mnie ogarnął jakiś dziwny pokój i szczęście. Przez cały czas wygnania nie widziałam księdza, nie miałam nigdy okazji spowiedzi lub wogóle kontaktu z sakramentami. Wiem, że z przejęcia ludzie mdleli. Pamiętam, że bardzo się modliłam za chorą, zostawioną w Rosji mamusię, i za tatusia, o którym nadal nic nie wiedzieliśmy. Życie w Pachlewi było zorganizowane. Dziećmi opiekowały się do tego wyznaczone wychowawczynie. Jedzenie, po tylu doświadczeniach potwornego głodu, było wspaniałe. Niektóre dzieci jadły tak dużo i z łakomstwem, że ich żołądki nie wytrzymały. Wiele też umarło bo nie mogło strawić żywności. Moja siostra Janina była bardzo mądra i dawała nam tylko małe porcyjki na raz, by żołądek się przyzwyczaił do normalnego funkcjonowania. Skąd w tym dziecku było tyle życiowej mądrości? Wreszcie chyba to było jedyne wytłumaczenie: zastępowała nam i ojca i matkę i uważała się za odpowiedzialną za nasze życie. Naprawdę należy jej się pomnik wdzięczności. Dbała nie tylko o swe rodzeństwo, ale także o dzieci rodziców, którzy, jak mama, zostali w ZSSR.

W Pachlewi chodzili po obozie naszym sprzedający Persowie. Mieli ogromne kosze z gotowanymi jajkami i pękami rzodkiewek. Był to dla nas luksus! Kiedyś ktoś nam kupił te "jajca warone" i do dziś pamiętam, co to była za uczta. Nigdy jajka nie jadłam przez dwa lata wygnania! Żołnierze nie raz dawali nam pyszne daktyle. Ale mądra Janka nie pozwalała jeść więcej, jak dwa na raz. Wiedziała, że możemy łakomstwo przypłacić życiem.

Z Pachlewi pojechaliśmy kilkoma transportami do Teheranu. Potworny upał odbierał nam siły. Ciężarówki stawały w cieniu palm, by szoferzy mogli odpocząć. Pamiętam, że w pewnym momencie tej podróży iście karkołomnej po serpentynach, zatrzymaliśmy się nad brzegiem jakiegoś strumyczka zarosniętego sitowiem i pełnego owadów i żab. Z nogami weszliśmy do wody i dłońmi nabieraliśmy ją, by się napić. Napewno wiele dzieci się pochorowało z tego powodu. Ale pragnienie nie dawało nam spokoju w tym upale.

W Teheranie, o ile dobrze pamiętam, najpierw mieszkaliśmy w dużych po wojskowych barakach, a później, przeniesiono nas do obozów, pod namioty. W baraku takim odwiedził nas Szach Reza Pachlawi z żoną i córeczką. Przynieśli dzieciom dużo słodyczy i Szach bardzo się interesował naszym losem. Mówił swej córeczce, że nie powinna w jedzeniu grymasić, bo my jesteśmy tacy biedni, a ona ma wszystko. Zaliczone do sierót, zostałyśmy przydzielone do sierocińca. Mój brat Edward nie był z nami. Jeszcze w Rosji wstąpił do Junaków i już go więcej nie widziałyśmy przez wiele lat. Jego drogi prowadziły przez Egipt, gdzie ukończył wyższą szkołę lotniczą. Po demobilizacji, przyjechał do Londynu, gdzie skończył studia inżyniera i osiedlił się w Anglii.

W Teheranie w dużych barakach wojskowych urządzono nam szkołę. Klasa przy klasie siedziała na ceglach. Trzeba było przynieść na matematykę 10 kamyczków lub patyczków. Bardzo lubiłam te lekcje. Przez ponad dwa lata rosłam jak dzikus i trzeba było ten czas nadrobić. Oczywiście nie było żadnych ołówków czy zeszytów. To był jeszcze luksus.

Meja siostra Janina ciężko zachorowała na tyfus, a później na serce. Zabrano ją do szpitala, gdzieś daleko za miasto. Płakałyśmy z Moniką bardzo, bo jedyna nasza nadzieja i ratunek, został nam zabrany. Napewno do jej choroby przyczynił się fakt, że jako dziecko już musiała przejąć odpowiedzialność za nas, troszczyła się o losy zostawionej, nieprzytomnej matki i myślała ciągle o ojcu.

Wyżebrawszy od żołnierzy kilka groszy wybrałyśmy się z Moniką w odwiedzin Janiny. Wiem, że bałam się jechać w nieznaną. Persowie w autobusie dziwnie na nas patrzyli. Ale jakoś dojechałyśmy. Janina nie mogła oczom uwierzyć, jak nas zobaczyła. Płakałyśmy z radości. Lepiej już się czuła, ale wyglądała jak szkielet. Dawała nam swe mądre rady i prosiła, by już więcej jej nie odwiedzać, bo było niebezpiecznie puszczać się dzieciom w taką podróż.

Po niedługim czasie zachorowała na tyfus Monika i też ją do szpitala zabrano. Zostałam więc sama. Pamiętam, że siadałam na jakichś schodach i płakałam. Ludzie przechadzający pytali, dlaczego tak płaczę. Odpowiadałam wyliczając kolejno przyczyny mojej niedoli: mamusia jest w Rosji i może już umarła, tatuś nie wrócił z wojny, Janina jest ciężko chora i jest bardzo daleko, Monika też poszła do szpitala, a o Edwardzie nic nie wiemy. Jestem taka sama! I zanosilałam się od płaczu. Raz po podobnym opowiadaniu, pani z którą dzieliłam me tragedie, dotknęła mojego czoła, a później prosiła bym szła z nią. Nic nie pamiętam, co się wtedy ze mną stało...

Obudziłam się w szpitalu i jakoś dziwnie mi było zimno w głowę. Gdy dotknęłam głowy i skonstatowałam, że nie mam włosów, że i mnie ogolono na pałę, zaczęłam płakać i krzyczeć, że mają mi oddać moje włosy. Zrobiłam scenę dziecinną w tym oddziale. Nie pomogły żadne perswazje, że włosy mi odrosną i że musieli je obciąć bo były za długie...byłam bardzo chora, i kto miał te włosy czesać? Nie wiem, czy mnie to przekonało.

Straszliwie bałam się umarłych. A tu co rusz ktoś koło mnie umierał. Nakrywano go białym prześcieradłem i wynoszono. Raz, gdy jeszcze spałam, przyszli sanitariusze i zabrali mnie z łóżka na nosze. Zaczęłam wrzeszczeć, że nie umarłam, że żyję i kopałam sanitariuszy. Pielęgniarze rozbawieni moją głupotą mówili: "Cicho, siedź mała, bo jak się nie uspokoisz, to damy cię szakalom na obiad, choć nie bardzo się tobą najedzą".

Kiedyś, gdy leżałam w moim szpitalnym namiocie i trochę już lepiej po tyfusie i malarii się czułam, patrzę, a w drzwiach namiotu stoi moja siostra Monika. Podchodzi do łóżka i mówi: "Chcesz kiełbasy? Przyniosłam ci od żołnierzy." I wyciąga spod pachy kawałek kiełbasy. Jak ona mnie odnalazła wyszedłszy sama ze szpitala nie wiem. Wzięłam z radością kiełbasę i włożyłam ją pod poduszkę. Nie pamiętam, czy ją zjadłam.

Jak już wszystkie wyzdrowiałyśmy, dzięki tylko Boskiej nad nami Opatrzności, wróciłyśmy do szkółki. Pamiętam, że wieczorami odbywały się nie raz patriotyczne akademie. Kilkakrotnie widziałam Gen. W. Andersa, który do nas przemawiał i cieszył się, że nas wyrwał z nieludzkiej ziemi. Pani Renata Bogdańska, później żona Generała, pięknie śpiewała na tych akademiach. Naturalnie, nastrój wśród nas był bardzo patriotyczny i radosny. Wszystko przemawiało za tym, że nie długo wrócimy do wolnej Polski...

Kiedyś Szach zaprosił nas na podwieczorek do swej cudownej willej róż. Otrzymaliśmy lody i cukierki. Byliśmy jako dzieci bardzo podnieceni. Wiem, że na tą okazję, tak jak na większe występy musieliśmy nałożyć nasze zielone szorciki. Wszyscy wygladaliśmy jednakowo, bo dziewczynki, z ogolonymi głowami, robiły wrażenie chłopców. Bywały z tym zabawne historie. Na przykład ktoś pomylił się i zwrócił do chłopczyka: "Marysiu..." Ten oburzony odpowiedział... "Ja nie jestem baba"...

Wreszcie przyszedł moment, by opuścić Teheran. Dzieci wyjechały kilkoma transportami do Isfahanu, dawnej stolicy Persji. Pamiętam dosyć dobrze tę drogę. Serpentyny były okropne. Wszystkie dzieci chorowały. Upał był niesamowity i pić nam się chciało bardzo. Ale dojechaliśmy. Tu nas podzielono na grupy według wieku. Domy nasze, to stare perskie budynki, w których mieszkaliśmy i w których zorganizowano szkołę. Początkowo na śniadanie dostawaliśmy zupę z ziemniaków i fasoli, a na obiad jakieś jarzyny i owoce. Wieczorem kawałek lepioszki - placka perskiego. Ale później było coraz lepiej i dzięki polskiej Delegaturze, ustanowionej przez nasz Rząd Londyński, naprawdę żyliśmy prawie normalnie.

Wstawało się bardzo wcześnie. Trzeba było biec na dół, gdzie urządzone były umywalnie. Tam w zimnej wodzie musiałyśmy się po spartańsku całe myć. Później była gimnastyka. Po gimnastyce, dzieci i nauczyciele zbierali się na placu przed budynkiem na poranną modlitwę. Składało się na nią Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę. Śpiewaliśmy Kiedy ranne, a później pieśń do Matki Bożej.

Wieczorem, przed spoczynkiem, znowu dzwonił dzwonek na modlitwę. Wszystkie nasze dzienne sprawy, rachunek sumienia, Aniele Boży, i O Panie, Któryś jest na niebie... Ta ostatnia pieśń zawsze mnie dziwnie nastrajała. Zastanawiały mnie jej słowa i tylko o to szczerze prosiłam: "Do wolnej Polski nam powrócić daj, by stał się twierdzą nowej siły, nasz dom".

Szkoła interesowała się bardzo wydarzeniami ogólno-światowymi, a zwłaszcza losami walczącej polskiej armii na tyłu frontach.

Nas głównie obchodziły losy Armii Gen. Andersa. Pisywałyśmy listy do żołnierzy 2-go Korpusu i do Generała. Przychodziły do nas z frontu ciekawe i pełne nadziei zapewnienia, że już nie długo wrócimy do Polski, bo wojna ma się ku końcowi.

Nasze lekcje były na wysokim poziomie, bo mądzy nauczyciele, pragnęli nadrobić stracony w Rosji czas. Poza posiłkami i zabawą, która długo nie trwała, cały dzień uczyliśmy się. Oczywiście nie było podręczników. Dopiero pod koniec pobytu w Isfahanie otrzymaliśmy dzięki staraniom Gen. Andersa książki. Co to była za radość. Już nie musieliśmy ze skrawków gdzieś zdobytych gazet uczyć się czytać. Mieliśmy prawdziwe książki. Całowaliśmy je z wdzięcznością. Była w nas ogromna chęć do nauki. Czytałam wtedy dużo. Moja siostra Janina nie była z nami. Została zabrana do Zakładu Sióstr Szarytek, do tzw. 2-ki, gdzie chodziła do gimnazjum. Ja zaś z miłości do mej siostry Moniki, poszłam o klasę niżej, by być z nią, bo mnie o to prosiła. Myślano, że jesteśmy bliźniaczki.

Kościółów w Persji jest bardzo mało, więc co niedzieli chodziliśmy parami do SS.Szarytek, gdzie była Msza św. Tam spotykałyśmy Janinę. Było to dla nas wielkie szczęście. Ona nas też odwiedzała czasami i troszczyła się o wszystko.

Byliśmy w 9-tce, gdy kiedyś powiedziano nam, że jakaś Pani na nas czeka na dole. Nie znaliśmy nikogo, więc z oporem poszliśmy do bramy wejściowej. Oczom naszym ukazała się wysoka, chuda, z ogoloną głową postać. Była w szlafroku i miała łapcie na nogach. W ręce miała zawiniątko. Staaliśmy przez chwilę patrzeć na nią, a ona patrzyła na nas. Wreszcie ona zaczęła: "To nie wiecie, kto ja jestem, nie poznajecie mnie!" Jakiś dziwny lęk mnie wtedy ogarnął i chciałam uciekać. Wydawało mi się bowiem, że mam przed sobą kogoś z za świątów. "Nie wiecie, kto ja jestem... nie wiecie"...Wtedy krzyknęłam do Moniki: "Mamusia"... Rzuciłyśmy się jej na szyję i przeproszałyśmy. Płakałyśmy i śmiałyśmy się z radości. Siedząc w ogrodzie, opowiadałyśmy sobie przeżycia z ostatniego roku. Mamusia wyjechała ostatnim transportem z Rosji, w jesieni, zdaje mi się, 1943 roku. Potem granicę zamknięto. Dzięki Bożej Opatrzności, która nieustannie nas prowadziła, przeprowadziła przez tragedie nie ludzkiej ziemi, i doprowadziła do tego spotkania, rodzina nasza po woli zaczęła się odtwarzać. Nic nie wiedzieliśmy o ojcu. Edwan był już po tej stronie, to było pewne. Wiadomości z Egiptu od niego nie miałyśmy.

Mamusia została zatrudniona w zakładzie dzieci i od czasu do czasu przychodziła nas odwiedzać.

Pamiętam szła radości 18.V.1944 roku, kiedy 2-gi Korpus zdobył Monte Cassino. Powrót do Polski wydawał się już bliski...

Pamiętam też Yaltę..

Losy nasze nie były pewne. Z nastaniem reżymu po-jałtańskiego, Rząd Londyński nie mógł się nami opiekować. Z Isfahanu trzeba było wyjechać. Na jakiś czas przyjął nas Liban. Wiele ludzi wyjechało z Persji do Indii, lub Afryki, a moje koleżanki, do Nowej Zelandii!

Z Teheranu więc powieziono nas do Achwazu, gdzie temperatura była wprost zabójcza +50C. Tam mieszkaliśmy w barakach wojskowych i chodziliśmy na improwizowane przez nauczycieli lekcje. W tym potwornym upale nie sposób było myśleć. Achwaz w języku perskim nazywa się piekło. Rzeczywiście doświadczaliśmy na naszej skórze piekielnego wprost ciepła. Trzeba było siedzieć w barakach, bo nie ma tam żadnych drzew czy palm. Nie wiem jak długo tam byliśmy, może około miesiąca. Z Achwazu, przez zupełnie piaskiem pokryte tylko obszary, udaliśmy się specjalnymi autobusami, które się nazywały n-ery, aż nad Tygrys i Eufrat. Pamiętam żołnierzy hinduskich, którzy na jakimś przystanku dawali nam obiad. Roślinność w oazie nad Eufratem była wspaniała i egzotyczne ptaki fruwały nad naszymi głowami. Dalej jechaliśmy do Bagdadu, gdzie w Domu Generała Sikorskiego, tak się nazywał ten dom, czekaliśmy na transport do Libanu. Z Bagdadu jechaliśmy jakimś dziwnym pociągiem, a potem znów autobusami, by wreszcie dotrzeć do Damaszku. Tutaj był krótki postój i droga dalsza prowadziła nas do Libanu. Co to za przepiękny kraj. Morze i góry! W Bejrucie sprawdzono listę podróżnych i rozdzielono nas do różnych miejscowości. Myśmy dostały mieszkanie w Zouk-Michael, nie daleko od Bejrutu. Przyjęli nas i inne polskie rodziny, które z nami jechały, do swych domów gościnni Libańczycy, którzy obdarzali Polaków specjalnym sentymentem. Tutaj zajmowały się nami specjalne polskie organizacje. Otrzymaliśmy miesięczny zasiłek, bo nie wolno było Polakom pracować. Taki był układ z władzami libańskimi. Rodzina, która nas przyjęła była katolicka. Było to młode małżeństwo z dwojgiem małych dzieci. Odstąpili nam jeden pokój i dali dostęp do łazienki i kuchni. Została zorganizowana szkoła. W różnych budynkach państwowych dano nam miejsce na poszczególne klasy. Świetnie to funkcjonowało. Przeżyliśmy w Libanie bardzo szczęśliwe trzy lata. Ludzie, arabowie i chrześcijanie żyli ze sobą w zgodzie i przyjaźni. Nie widziałam nigdy zamieszek. Ten cudny, przyjacielski i spokojny kraj, nastrojał nas bardzo pozytywnie, choć los nasz był bardzo niepewny. Nie wiedzieliśmy co się z nami stanie. Ale w międzyczasie pilnie się uczyliśmy. Organizowaliśmy imprezy patriotyczne, harcerstwo świetnie się rozwijało. Janina była ważną drużynową, a później hufcową. Uczono nas prawdziwego patriotyzmu. Życie religijne rozwijało się pod opieką Ks. Tomasika, który czuwał nad katechizmem, nauką wiary i był zawsze gotowy do służenia pomocą duchową. W 1946 roku zostałam przyjęta do Sodalicji Mariańskiej i złożyłam przyrzeczenie. Naszym życiem interesował się ówczesny prezydent Libanu. Przyjeżdżał na nasze akademie. Spiewaliśmy hymn libański, który do dziś pamiętam.

W roku 1948 musieliśmy powziąć decydujące rozwiązanie dotyczące naszej przyszłości. Było już po Yalcie. Polska nie miała wolności. Trzeba było zdecydować, albo powrót do komunistycznie rządzonego kraju, albo osiedlić się gdzieś zagranicą. Właśnie wtedy także otrzymałyśmy pierwszą wiadomość o Ojcu. Żył i mieszkał gdzieś około Poznania. Była to wiadomość tak dla nas radosna i niespodziewana. Mamusia jednak zdecydowała, że do takiej Polski, jaka zaczęła już oficjalnie funkcjonować i być uznawana, nawet przez naszych sprzymierzeńców, wracać nie możemy. Ponieważ Anglia zgodziła się na przyjęcie rodzin wojskowych, pojechaliśmy w roku 1948 do Anglii. Wyjazd z Libanu był bardzo rzewny. Nasze koleżanki powracały do Polski lub jechały do USA. Liban trzeba było opuścić i zacząć jeszcze jedną wygnańcza kartę naszego życia.

Wiem, że dojechawszy do granicy palestyńskiej, musieliśmy się wrócić do Bejrutu, bo wojny arabsko-żydowskie, nie pozwoliły nam przejechać. W jakimś hotelu w Bejrucie przesiedzieliśmy, cały nasz transport do Anglii, kilka tygodni. Wreszcie pojechaliśmy. Autobusami dowieziono nas do Alexandrii. Pamiętam przejazd przez Kanał Suezki. Myślałam o "Pustyni i w puszczy," o Stasiu i Nel... Okrętem popłynęliśmy przez Morze Śródziemne. Przypominają mi się postoje na Sycylii, a zwłaszcza przejazd przez Gibraltarc, gdzie statek się zatrzymał. Aby uczcić pamięć Gen. W. Sikorskiego, zrobiono dwie minuty ciszy na pokładzie i modliliśmy się za spokój jego duszy. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie. Pamiętałam bowiem tragiczną wiadomość otrzymaną w Persji, że Generał zginął właśnie na tym miejscu...

W zatoce Biskajskiej rozpętała się tak straszliwa burza, że cudem wyszliśmy cało. Pamiętam potworne ryki syren, alarm, lecące naszytnia i huk rozbijających i lecących na ziemię przedmiotów. Dostałam potwornej morskiej choroby i byłam przekonana, że to jest nasz koniec. Podróż trwała chyba 2 tygodnie. Była to okropna podróż! Dojechaliśmy wreszcie do Southampton. Tam nas wsadzono na pociąg i zawieziono do obozu żołnierskiego, pustego. Oddano nam baraki do dyspozycji. Była też w oddali polowa kuchnia, w której dostawaliśmy żywność. Zima była w tym roku dosyć ciężka. Pamiętam, że wiele czasu spędzałyśmy w łózkach, by się ogrzać. Mamusia poszła do pracy do fabryki, a my do szkoły polskiej w Stowell Parku. Warunki tam były bardzo trudne, ale trzeba się było uczyć, bo ciągle przerywało się edukację! Było głodno i chłodno. Jeszcze wszystko było racjonowane. Ale pełne zapału, Monika i ja zajęłyśmy mały pokój w baraku żołnierskim i zaczęłyśmy, z dziewczynkami zupełnie nam nie znanymi, przerwana szkołę...Gimnazium.

Janina była w Londynie na studiach. Mieszkała u wuja. Bardzo nam było wtedy ciężko, ale nadzieja lepszego jutra, dodawała nam otuchy. Wtedy też dowiedzieliśmy się, że po demobilizacji, Edward przyjechał z Egiptu i zaczął pracę gdzieś na północy Anglii. Był to wielki i niezapomniany dzień, kiedy go znowu mogliśmy zobaczyć. Był już dorosłym człowiekiem, a rozstaliśmy się dziećmi. Opowiadań i wspomnień było tak wiele.

Nasza szkoła w Stowell Parku była duża i wielu wspaniałych profesorów tam było. Uczyli nas wszystkiego, co trzeba było na każdym poziomie wiedzieć. Literatura polska, sztuka i wszystkie dziedziny nauki, które rozwijały nasze horyzonty, były bardzo pilnie strzeżone. Uczyliśmy się łaciny. Co to za skarb, znać dobrze łacinę!

Mamusia przeniosła się z obozu do Londynu. Tam Janina wynajęła "flat" i tam jeździliśmy z Moniką na wakacje. Były to bardzo trudne czasy. Nie mieliśmy dosłownie nic, ale mamusia dbała, by się nie zniechęcać i by się przede wszystkim uczyć. Zdałyśmy więc maturę polską i angielską, bo obowiązywały nasze polskie szkoły dwa systemy i polski i angielski. I tak doszliśmy do legalnej "dojrzałości" i mogliśmy zacząć dalszy etap naszego życia.

Potoczyło się ono różnymi drogami dla każdego z nas. Ale w swym niepojętym Miłosierdziu, Pan Jezus zarezerwował dla mnie najlepszą cząstkę. Dał mi zakonne powołanie. W październiku 1950 r. wstąpiłam w Pitsfordzie do Zgromadzenia SS.N ajświejszej Rodziny z Nazaretu. I tu zaczęła się nowa, cudowna karta mojego życia. Łask, przeżyć, dobrodziejstw Pańskich, które mnie codziennie otaczają, nie potrafiłabym do końca życia, nawet najdłuższego zliczyć. Wieczność zostawiam sobie na dziękczynienie za me zakonne powołanie, a zwłaszcza za powołanie do Nazaretu. Alleluja! Amen.

Ojca mojego widziałam po 19-tu latach, już jako zakonnica. Po wielu staraniach, otrzymałam wizę do Anglii, gdzie została cała nasza rodzina. Spotkanie z Tatusiem było dla mnie przeżyciem nie do opisania. Płakaliśmy ze szczęścia. Niestety, wyczerpany przeżyciami wojennymi, zmarł on nagle w Londynie na atak serca. Janina i Monika wyszły za mąż i mają już dorosłe dzieci. Edward też się ożenił i zamieszkał na stałe w Anglii. Mamusia żyje i często wspomina tragedię, jakie przeżyła sama z czworgiem dzieci na tej nieludzkiej wtedy dla nas ziemi.

Epilog.

To, co napisałam w mych wspomnieniach, jest tylko kroplą wody w oceanie ogromnych cierpień ludzi, zwłaszcza dzieci, które, aczkolwiek zupełnie niewinne, przeżyły koszmar deportacji do Rosji. Dzięki pomocy Bożej Opatrzności, Która jedynie nas ocalała, święcie w to wierzę, przeżyłam tę gehennę i mogę dzisiaj o niej mówić. Ale na własne oczy widziałam śmierć wielu moich rodaków i tysiące grobów polskich rozsianych po nieogarnionych obszarach ziemi ZSSR. Ciała tych ofiar, zawinięte w łachmany, grzebane były w płytkich rowach, wykopywanych przez współziomków. Wiadomo powszechnie, że z 2.000 sierot polskich pozbieranych przez żołnierzy Generała Andersa po terenach Rosji, a zgrupowanych w obozie koło Taszkentu, żadne dziecko nie przeżyło skutków ich przecierpianych męczarni. Pochyłam głowę nad tymi nieznanymi dziecięcymi grobami, które już nie istnieją, bo stały się pastwą, ich: ludzkie szkielety, hien i szakali. A nade wszystko błagam Boga, aby ta ludzka tragedia nigdy się już nie powtórzyła. Trzeba także wiedzieć, że ze 2.000.000 deportowanych, mała tylko część została wyzwolona dzięki staraniom Generała Andersa. Inni zaginęli, tak czy inaczej i niemymi głosy wołają do nieba i do ludzi, aby historia tak niesprawiedliwa w swych ocenach upomniała się w sumieniach potomności, o sprawiedliwość.

Generał Władysław Anders zmarł w Londynie dnia 12.V.1970r. Zgodnie z jego wolą, ciało jego zostało przewiezione na Monte Cassino, gdzie spoczywają żołnierze, z którymi zdobywał Górę tak dziś znaną, w oczekiwaniu na wolność Polski.

Uroczystości pogrzebowe Generała były niezwykle wzruszające. Wokół jego trumny zebrali się weterani wojenni, władze wojskowe i cywilne, delegacje przysłane przez Rządy wielu państw, rodzina zmarłego i wielu Polaków z Emigracji. Byłam obecna na tej tak historycznej i wzruszającej ceremonii i nie potrafię wyrazić uczuć, i wzruszenia, które wtedy przeżyłam. Słyszałam podniosłe i wspaniałe przemówienia, wiersze, pieśni i wspomnienia...kierowane do leżącego w trumnie Bohatera. Ale to wszystko nie wyczerpie nigdy wielkości i ważności roli, jaką spełnił Generał Anders. Imię jego zapisało się głęboko w sercach tych, którzy, jak ja, zostali wyrwani z nieludzkiej ziemi, i tych, którzy u boku takiego Wodza zdobywali szczyty Cassina.

Może teraz wreszcie zacznie się zbierać owoce Jego geniuszu i patriotyzmu, jego niezachwianej wiary w Polskę i jej wolność?

Wokół Krzyża Virtuti Militari, wyżłobionego w trawertynie u s tóp wojskowego cmentarza na Monte Cassino widnieje napis: "Za naszą i waszą wolność, my żołnierze polscy, oddaliśmy duszę Bogu, ciało ziemi włoskiej, a serce Polsce. Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w jej służbie".

A ja, nad jego trumną, chciałam wyrazić w imieniu tylu uratowanych przez Generała zesłańców i w moim własnym, że dzięki jego geniuszowi, mogę dzisiaj, jako zakonnica, dawać świadectwo o tym, co przeżyli Polacy zesłani na nieludzką ziemię w ZSSR podczas drugiej wojny światowej.

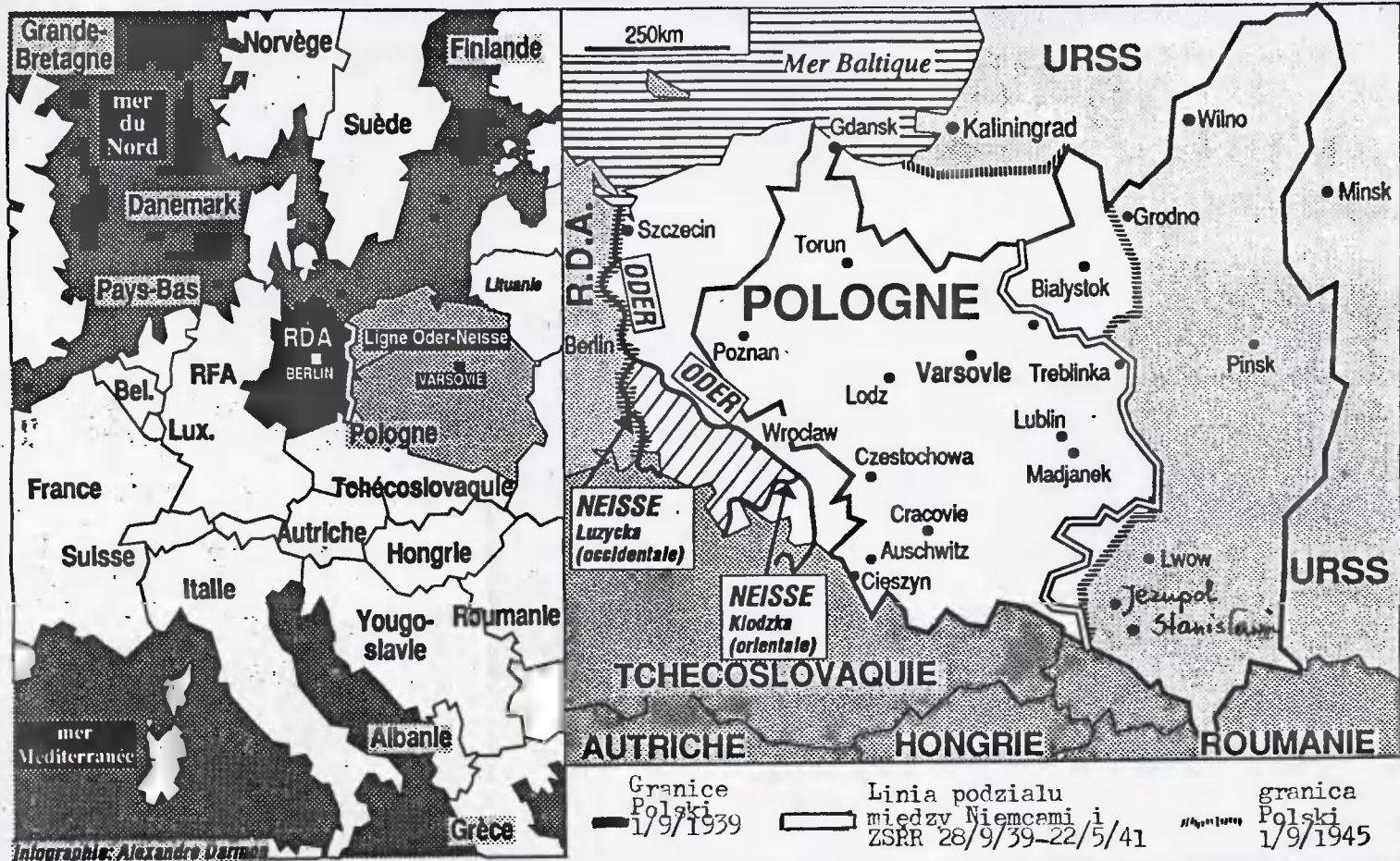


ITINERAIRE DES DEPORTES A TRAVERS LA RUSSIE JUSQU'AU PROCHE-ORIENT

DROGA DEPORTOWANYCH PRZEZ ROSJE I BLISKI WSCHOD DO ANGLII.



Ośrodki polskich jednostek wojskowych na południu azjatyckiego ZSRR.



Au cœur du débat sur l'unification allemande, la ligne Oder-Neisse, devenue frontière orientale de l'Allemagne sur décision des vainqueurs du III^e Reich. Sur la carte de gauche, la frontière entre la RDA et la Pologne. Sur celle de droite, l'évolution du territoire polonais de 1939 à 1945; la zone hachurée se situe entre la Neisse Luzycza (occidentale) et la Neisse Klodzka (orientale). ;

na nieludzkiej ziemi

TERRE INHUMAINE



LEGENDA DO MAPY

ZSRR w latach 1939 — 45

oznaczenia:

kolor niebieski: rzeki, jeziora, morza

kolor czerwony:

— pełny — zespoły łagrów, w których więźni byli Polacy,

— ukośne kreskowanie — tereny, na które przesiedlano Polaków,

— znaki X — miejsca masowych mordów.

URSS dans les années 1939-45:

couleur bleu: rivières, lacs, mers

couleur rouge:

- plein: agglomérations des goulags où les Polonais étaient emprisonnés,

- zones hachurées: espaces où les Polonais étaient déplacés,

- X: lieux de massacres massifs.

Kalendarz Sybiraków 1990 wydany pod patronatem Związku Sybiraków przez Towarzystwo Przyjaciół Kuriera Podlaskiego

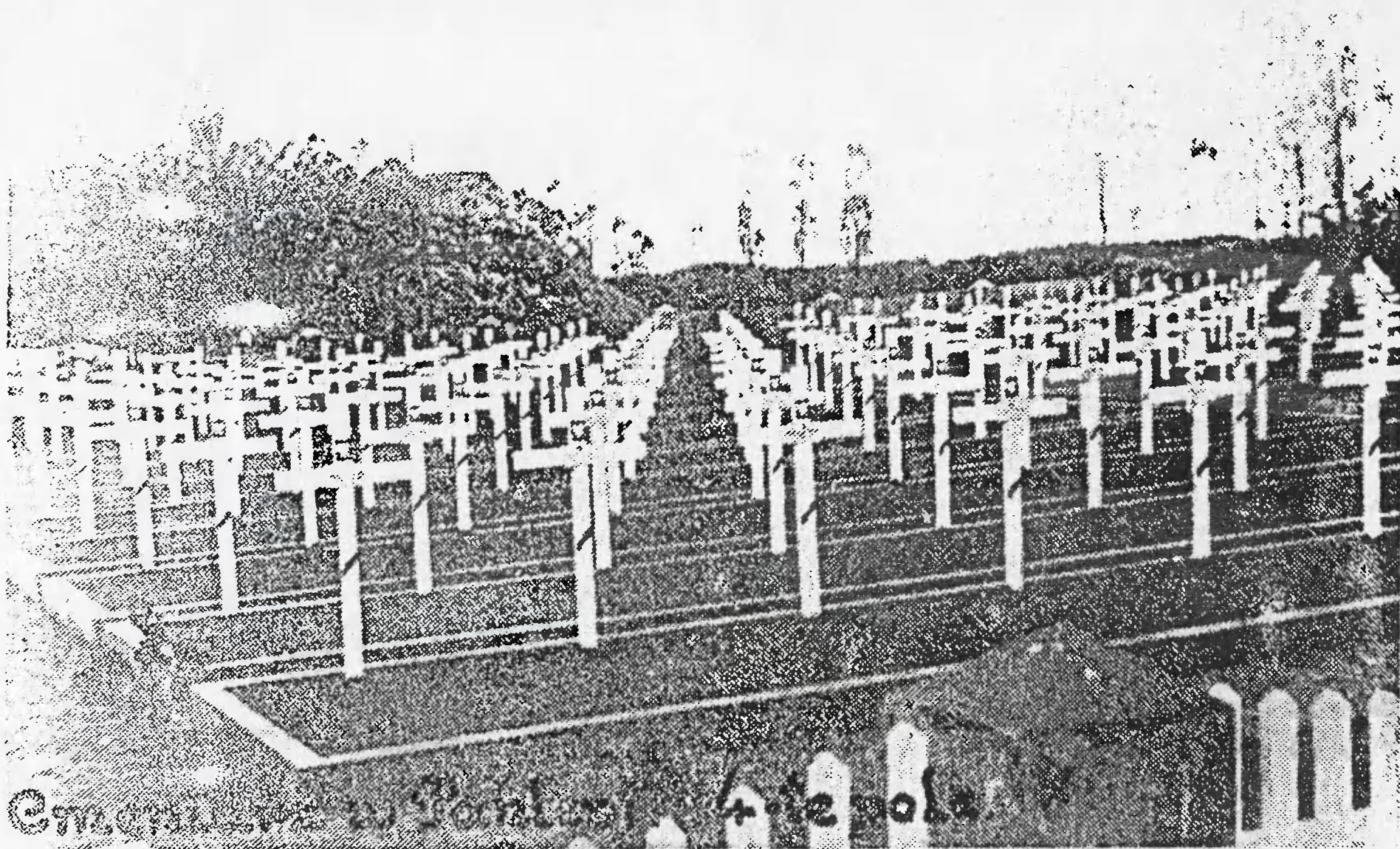
Scenariusz tekstu i redakcja LESZEK ŚLAWIŃSKI

Współpraca SŁAWOMIR OŻAŁSKI

Opracowanie graficzne TADEUSZ GAJ

Redakcja techniczna WACŁAW SZYMANSKI

Druk „Inrografia”, z. 1061/89 Nr A-108



Polski cmentarz w Pahlevi, czwarte pole.



Posiłek z racji wojskowych.
(Fotografia z Rosji, z Archiwum Studium Polski Podziemnej)

Jedenastce Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, które zostały rozstrzelane przez hitlerowców w dniu 1 sierpnia 1943 roku:

Siostra M. Stella, Adela Mardosewicz
Siostra M. Imelda, Jadwiga Żak
Siostra M. Kanizja, Eugenia Mackiewicz
Siostra M. Rajmunda, Anna Kukołowicz
Siostra M. Daniela, Eleonora Józwick
Siostra M. Kanuta, Józefa Chrobot

Siostra M. Sergia, Julia Rapiej
Siostra M. Gwidona, Helena Cierpka
Siostra M. Felicyna, Paulina Borowik
Siostra M. Heliodora, Leokadia Matuszewska
Siostra M. Boromea, Weronika Narmonowicz

MODLITWA DLA OTRZYMANIA ŁASK

Boże, pełen miłości i miłosierdzia, Tyś nie oszczędził Swojego Syna, Jezusa, lecz przez wzgląd na nas wydałeś Go na mękę. Dał On dowód Swej miłości, oddając za nas Swe życie.

Idąc za wzorem Jezusa, jedenastce Sióstr z Nowogródka złożyło całkowitą ofiarę z siebie za braci i weszło do radości życia wiecznego.

Boże miłości, Ty sprawiasz, że z każdej ofiary płynie nowa moc i ożywia się na nowo wiara. Dając za wzór tych jedenastce Sióstr, pomóż nam je naśladować przez świadectwo naszym życiem o Twojej miłości i przez naszą wierność nauce Chrystusa, tak byśmy mogli kiedyś wraz z nimi cieszyć się szczęściem w niebie. Dla większej chwały Twojej i dla naszego duchowego pożytku otocz chwałą te Siostry również tu na ziemi. Udziel nam za ich przyczyną łaski, której potrzebujemy. Przez Chrystusa Pana Naszego. Amen.

O łaskach, otrzymanych za przyczyną jedenastu Sióstr zamordowanych w Nowogródku, prosimy zawładomić Siostry Najświętszej Rodziny z Nazaretu, Via Nazareth 400, 00166 Roma, Italia.

Rok 1943! — w Polsce ciemna noc okupacji niemieckiej. Na północnowschodnich rubieżach w Nowogródku zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Najśw. Rodziny z Nazaretu w liczbie dwunastu dzielą los swych rodaków i nie myśląc o własnym bezpieczeństwie cierpią nad aresztowanymi, wywiezionymi do obozów koncentracyjnych, rozstrzeliwanymi. Cierpią nad osieroconymi rodzinami, nad tragicznym ich losem.

Oto nowe aresztowania, nowe tysiące osadzone w więzieniu czekają na wyrok. A w domach w śmiertelnym lęku matki i dzieci...

Jak im pomóc? Pełne Bożej miłości serca Sióstr znajdują sposób na danie dowodu miłości dla brata-człowieka. Przełożona Siostra M. Stella wypowiada słowa, które są wyrazem uczuć i pragnień wszystkich naszych Sióstr w Nowogródku: «Boże, jeżeli potrzebna jest ofiara z życia, przyjm ją od nas, wolnych od obowiązków rodzinnych, a spraw, aby zostali wypuszczeni ci, którzy mają rodzinę.»



SIOSTRY NAJŚWIĘTSZEJ RODZINY Z NAZARETU — Nowogródek 1943 r.

Ofiara złożona — Ofiara przyjęta

Siostry w liczbie jedenastu zostają uwięzione, a po nocy, której tajemnicę zna tylko Bóg, wywiezione za miasto i rozstrzelane nad przygotowanym uprzednio dołem. W nim też spoczęły dnia 1 sierpnia 1943 r.

«Jak One szły, jak szły — te Siostry!» — wypowiedział później jeden z gestapowców obecnych przy egzekucji. A w Nowogródku radość, bo wypuszczono z więzienia ostatnio aresztowanych.

Jedna z Sióstr, która pozostała przy życiu, gdyż w chwili aresztowania jedenastu pracowała w szpitalu, odnalazła potem miejsce ich stracenia. Po wyjściu Niemców wydobyto ciała pomordowanych zakonnicek, a ludność Nowogródka pełna głębokiej czci i wdzięczności dla swych «wybawicieli» urządziła im tryumfalny pogrzeb i złożyła na cmentarzu przy samym kościele.

Wkrótce zaczęto się do Nich zwracać z prośbą o wstawiennictwo w różnych potrzebach. Liczne łaski otrzymywane za pośrednictwem tych Sióstr dowodzą, że miła była Bogu Ich ofiara i że cieszą się Jego łaską.